

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



ARCYKSIĄŻĘ KAROL STEFAN NA POLOWANIU

Malował WOJCIECH KOSSAK



BOLESŁAW KOSKOWSKI:

## Program-maximum i program-minimum.

Działalność polityczna postów polskich w Dumie rosyjskiej rozjaśniła się, jak wiadomo, od wystawienia programu-*maximum*.

Gdyby państwo rosyjskie było wówczas istotnie w okresie „burzy i nacisku”, w którym większość rozumie potrzebę *gruntownych* reform, a mniejszość, z braku siły, nie może się temu rozumieniu przeciwstawić, to wystawienie takiego programu byłoby jedynym rozumnym i celowym aktem politycznym. Bo polski program-*maximum* zawierał w sobie to wszystko, co krajowi i narodowi potrzeba dla rozwoju, i jednocześnie to, co państwu mogło przysporzyć sił i znaczenia.

Lecz zawierucha, która przeszła po państwie, nie miała nic wspólnego z okresem gruntownych reform. To też już z pierwszych dwu Dum można było wywnioskować, że nasz program-*maximum* nie posiada żadnych widoków, aby być uznanym za integralną część ewentualnego programu państwowego. Trzecia Duma zaś dała do zrozumienia, że nawet dyskutować nad nim nie będzie.

Teraz więc, z kolei rzeczy, zdawałoby się, że Polacy powinni wystąpić z programem-*minimum*, t. j. z takim, który, lubo nie odpowiada pełni potrzeb narodowych i społecznych, sprzyja jednak rozwojowi elementarnych warunków istnienia narodowego i podniesienia kraju na wyższy szczebel kulturalny.

Wystawiając taki program (jak każdy inny), reprezentacja polska brałaby na siebie odpowiedzialność za to, że zrealizowanie jej wskazówek i życzeń istotnie doprowadzi do celu, zaspokoi bieżące aspiracje narodowe, posunie rozwój ogólny o krok naprzód, stłumi ostre przejawy niezadowolenia ogólnego, pozwoli czekać cierpliwie, aż czas wypowie swe słowo o dalszym biegu rzeczy. Trzeba bowiem zawsze pamiętać, że, kto ustala jakiegokolwiek program, ten bierze za niego odpowiedzialność. Jeśli program okaże się złym, jego autor przede wszystkim, a nie kto inny, będzie za niepowodzenie odpowiedzialny. Ta odpowiedzialność, rzecz prosta, nie może sięgać w nieskończoną głębi historii, ale na pewno, dajmy na to jednopokoleniowy lub historycznie jednorodny okres jest ona istotną.

Oportunizm więc polityczny ma swe granice: niepodobna np. w programie-*maximum* żądać autonomii, a w programie-*minimum* regulacji serwitutów, bo tu jest widoczne, że, jeśli pierwsza odpowiadała w zupełności i interesom narodowym, i interesom państwowym, to drugie nie zdoła zaspokoić nawet drobnej cząstki elementarnych potrzeb narodowych.

A jakież to mógłby być ten nowy polski program-*minimum*?

Nie wiem, czy kto go opracowywał

szczegółowo, ale zdaje mi się, że niektóre jego punkty byłyby u nas przez wszystkich uznane za nieodzowne. Do nich przede wszystkim należałoby zaliczyć zniesienie wszystkich ograniczeń praw Polaków i katolików nie tylko w Królestwie, ale i w całym państwie; tutaj także włączyć trzeba równouprawnienie Polaków pod względem ciężarów podatkowych i wydatków państwa na Królestwo; dalej idzie uznanie praw języka polskiego w szkolnictwie niższym i prywatnym, rozszerzenie ich w szkolnictwie średnim i wyższym, ustalenie ich w samorządzie i w niższych instytucjach sądowych.

Te (wyliczone raczej dla przykładu) i wynikające z nich warunki elementarnych praw narodowych i obywatelskich mają w całym znaczeniu tego słowa charakter minimalnych żądań, jednocześnie wszakże takich, których zaspokojenie mogłoby dać rękojmię, iż obywatele będą spokojnie i cierpliwie czekali lepszych czasów, kiedy głęboko zrozumiana racja stanu wskaże ich niedostateczność, kiedy także przyspieszony rozwój społeczny i kulturalny wykaże dobitnie, że formy życia społecznego nie dorastają do jego treści.

Zdaje mi się też, że za taki program, wynikający z trzeźwego ocenienia możliwości bieżących i silnie opierający się na wierze, iż społeczeństwo nasze potrafi dzielnie zużytkować wszystkie choćby najdrobniejsze ustępstwa duchowi czasu i potrzeb, że za taki program mogłaby wziąć wymienioną wyżej odpowiedzialność nasza reprezentacja poselska. W społeczeństwie naszym bowiem realizm polityczny bardzo postąpił naprzód, a zwłaszcza zdemokratyzowanie nasze, dzięki wzmocnionemu udziałowi w życiu publicznym warstw włościańskich, warstw, bardzo trzeźwo myślących i umiających się poznać na wartościach życiowych, daje rękojmię, iż zasada: „wszystko, albo nie” nie zdobędzie dla siebie większości społeczeństwa.

Czy jednak taki program mógłby liczyć w dzisiejszych czasach na powodzenie przede wszystkim w Dumie?

Jak wiadomo, Polacy w trzeciej Dumie z żadnym programem nie występowali. Fakt ten wyjaśnił na wiosnę r. z. przedstawiciel Koła Polskiego, p. Dmowski. Powiedział on mianowicie, że, skoro Polacy wypowiedzieli w swoim czasie swe życzenia, a na nie Rosyanie, mający głos decydujący w tej sprawie, odpowiedzieli więcej, niż energiczną odmową, to teraz kolej przyszła na Polaków czekać, zaś na Rosyan powiedzieć, jaki mają program w kwestyi polskiej. Oznajmienie to pozostało bez odpowiedzi, i tylko z ogólnikowych i mogących uleże rozmaitemu tłumaczeniu deklaracji pałdźnikowców (hr. Uwarowa w Dumie, p. Guczkowa poza Dumą) dowiedzieliśmy się, że polski program Rosyan polega na „równouprawnieniu”.

Taka sytuacja mogłaby być nazwaną zagadkową, a więc zniewalać do dalszego czekania, gdyby całe postępowanie t. zw. centrum w Dumie (t. j. pałdźnikowców i umiarkowanej prawicy) nie pozwalało już na

ustalenie całego szeregu niewątpliwych faktów: 1) że pałdźnikowcy (tem bardziej wszystko to stosuje się do umiarkowanej prawicy) nie posiadają żadnego programu reform państwowych; 2) że oni nie posiadają także żadnego programu w sprawie polskiej; 3) że cała ich działalność parlamentarna zależna jest całkowicie od rządu, któremu oni postanowili podporządkować się całkowicie. Więc na ich *inicjatywę* w sprawie reform dla Królestwa Polskiego, względnie dla Polaków w państwie rosyjskim, żadną miarą liczyć nie można. Ktoby zatem oparł swą działalność w Dumie na taktyce czekania na słowo Rosyan, tenby się naraził na niewątpliwe *fiasco*.

Również hasło „równouprawnienia”, rzucone w Dumie przez pałdźnikowców, znalazło już w dostatecznej mierze swoje oświetlenie. Można jeszcze uważać głośne w swoim czasie wystąpienie pośła von Anrepa z gloryfikacją obcięcia przez prawo z 16 czerwca przedstawicielstwa polskiego za nie obmyślany występ na własną rękę, ale ludzilibyśmy się własnowolnie, gdybyśmy nie rozumieli znaczenia takich uchwał, jakie zapadały i zapadają w komisji wyznaniowej, budżetowej, sądowej, oświatowej, takich projektów, jakie opracowywa i przyjmuje centrum w sprawach nauczania powszechnego, takich opinii, jakie wypowiadają w *interviewach* i organach partyjnych pp. Guczkow, Anrep i inni.

Równouprawnienie jest tu znowu przywilejem dla żywiołu panującego, zniesienie danych ograniczeń narodowych jest tu znowu zastępowane obmyślaniami nowych, troska o równość obywateli jest tu znowu usiłowaniem obniżenia kultury wyższej do poziomu kultury niższej. Nad tem wszystkim przeważa troska, aby wobec rozwijania wszystkich zasobów cywilizacyjnych nie odbywało się gdzieindziej szybciej, niż w Wielkorosyi.

W takich oto warunkach znalazłby się wszelki program „równouprawnienia” ekonomicznego i kulturalnego, wystawiony przez kogokolwiek, szczerze i rzetelnie, w tej Dumie państwowej. Nawet wąsko pojmowany, zastosowany tylko do sfery gospodarczej i ekonomiczno-kulturalnej, spotyka się on z ciągłym zaprzeczeniem. Cóż dopiero byłoby, gdyby je rozumieć tak, jak go rozumieją we wszystkich państwach praworządnych i na nowoczesnych podstawach rządzenia opartych, gdyby np. do Polaków zastosowano tu te prawa, z jakich korzystają Żydzi w Austrii i we Francji. Rzeczywiste równouprawnienie miałoby dla dzisiejszej większości w Dumie sens zamachu na dobrobyt, rozwój, przyszłość żywiołu wielkorosyjskiego, nie znalazłoby zatem jej aprobaty.

Wobec tego wystawienie programu *minimum*, pociągające za sobą tę wysoką niedogodność, że go łatwo mogliby wziąć Rosyanie za program *maximum*, nie miałoby przytem żadnych skutków realnych. Nie może bowiem ulegać wątpliwości, że dzisiejsza Duma, jeśli nie jest zgoła skłonna do rozumienia potrzeby równouprawnienia wszystkich obywateli państwa, tem mniej okazałaby





POETA I NATURA

L. WASILKOWSKI

chęci do poczynienia koncesji narodowych w zakresie języka polskiego, szkolnictwa, silnych instytucji samorządnych i t. d.

Tak więc reprezentacja polska w trzeciej Dumie nie może wystąpić z żadnym programem reform dla Polaków. Inaczej mówiąc, jej działania muszą być bezprogramowe, albo jeszcze lepiej: dostosowane do „programu” tych, którzy z wewnątrz czy z zewnątrz gospodarują w Dumie. Jest tu zatem pole do działania dla rzeczoznawców w sprawach społecznych, dla specjalistów w różnych gałęziach gospodarstwa krajowego, dla czynnych i zarliwych ludzi pracy codziennej, uzdolnionych do cierpliwych i czujnych zabiegów, umiających wyszukiwać punkty pojednania interesów, a zacierać różnice w poglądach i usposobieniach, lecz niema tu pola dla polityków narodowych, ogarniających troskliwie całość reprezentowanych interesów i przedstawiających wiernie choćby tylko minimalny postulat narodowy.

Im prędzej społeczeństwo nasze zrozumie ten fakt, wypływający z niezależnego od nas rozwoju stosunków, tem prędzej przeniesie ono punkt ciężkości swego działania na kraj, dla działania w Petersburgu pozostawiając tyle tylko miejsca, ile mu się teraz należy, gdy po dwuletnich złudzeniach okazało się, że w Rosji po dawnemu parlamentu jeszcze i wciąż niema.

Petersburg.

WŁADYSŁAW ORKAN:

## TATRY W NOCY.

I.

Cóż to za wizje grodów, spiętrzonych w otchłań  
siną?

Cóż to za widma wież, wtopionych w mroczne  
zielenie?

Olbrzymie białe duchy, mgłą oszronione cienie,  
Czyliż tak widny sen? Gdy dotknę oczu: zginą...

Na morzu wiotkich sreżog, zda się wyraźnie, płyną  
Ku jakimś Portom zmarłym, dalekim nieskończenie,  
Gdzie na okręcie pustym ciemne wpływa Milczenie  
I jest jedyną tam o ziemi naszej słońca...

Dusza w otchłań wieczności za widmem białem  
bieży—

By dojrzec cel—śni go już—zdaje się jej: przeczuwa—  
I oto kryje go jawa, która ku niebu się śnieży...

Dusza, dręczona, nie wie: na jawie-li, czy we śnie?..  
I z legend, w głąz zastygłych, nowe legendy

wysnuwa,  
Z baśni o zmarłym świecie nowe rozwija baśnie.

II.

U stropu gwiazd, pod niebem, na śnieżnej,  
miękkiej hali

Dwie postaci, leżące w uścisku beznamiętnym,  
Dwoje z olbrzymów rodu, w jakimś zatrwaniu  
smętnem—

Jakgdyby czarem dziwnym w wieczność objęci—  
spali.

On, rycernej postaci, w zbroi ze srebrnej stali—  
Ona, w muślinu szacie, rąbkiem owita mlecznym—  
Olbrzymi, cisi, święci, w tem zakochaniu wiecznym,  
Zastygli w cud, na drodze do świętych wrót  
Walhali.

Widomy księżyc wzniósł się nad śnieżne ich  
wezgłowie,

Oświecił twarz dziewicy, bladą, na wieczność  
wierną,  
I olśnił śpiącą obok niej postać rycerną...

O cudzie! Zbudzenie ich w jednym zamknięte  
słowie...

To słowo!—królewska para ta do życia wskrześnie...  
Szeptane—gdzie—nie baczę: na jawie-li, czy we śnie?



KORNEL MAKUSZYŃSKI:

# Teatr okropności.



To tylko tytuł taki straszny, a nie każdy malarz jest taki straszny, jak maluje, i nie każdy teatr jest taki straszny, jak o nim mówią. Piszę o „Grand Guignolu”, paryskim teatrzyku, który zażywa na szerokim świecie sławy kominiarza, straszącego dzieci. Czytałem niedawno w kilku pismach polskich felietony o „Grand Guignolu”, które było czuć najwyraźniej grobowym robactwem, chloroformem, zapachem trupów w trzecim stadium rozkładu, roquefortem, cmentarzem, Morgą, epidemią, szpitalem, kryminałem, warszawskim magistratem, jednym słowem: nieświeżym mięsem. I oto przysięgam na wszystkie rozkładające się trupy „Grand Guignolu”, że nigdzie nie można zabawić się szczerzej i serdeczniej, nigdzie się szerzej śmiać nie można, jak w tym rozslawionym teatrzyku, w którym więcej przez lat kilka popłynęło krwi ludzkiej, niż pod warszawskimi tramwajami elektrycznymi, albo podczas wojen punickich; napisano o „Grand Guignolu”, że się tam chodzi szukać niesamowitych dreszczów i rafinowanych wzruszeń, ja zaś jestem zdania, że nic bardziej nie przyczynia się do normalnego trawienia obiadu, jak przedstawienie w „Grand Guignolu”.

Rzeźnia ta mieści się w ciasnej uliczce montmartrowskiej, przy rue Chaptal; bardzo niewinna ulica; nic nie zdradza tego, że o kilka kroków, w zwyczajnej kamienicy odbywa się co wieczora najmniej dziesięć wymyślnych zbrodni, wśród których wyłupywanie oka, na przykład, jest niewinną zabawką. Ale czuje się dreszcz. Więc to tutaj?—Tutaj!... O!... dreszcz przebiega obowiązkowo w kierunku od nóg ku głowie, poczem najspokojniej wraca w miejsce stałego pobytu.

Bardzo sympatyczny teatrzyk i bardzo drogi. Dwa hektolitry krwi aktorskiej warte kilku franków; ale za to już bilety wstępu są czerwone. Nerwowi ludzie niosą je ostrożnie w końcach dwóch palców. Salka na trzysta osób, bardzo jasna i ogromnie miła, ale to zapewne dla bolesnego, okropnego kontrastu, zbrodnia bowiem, spełniona na perskim dywanie, zawsze zdaje się być straszliwsza od zbrodni ulicznej, ponieważ... i dywanu szkoda. Publiczność widocznie nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest w świątyni zbrodni, w której sabbat krwawy za chwilę się rozpręże, gdyż zachowuje się tak, jak w kawiarni. Jakiś tabetek tylko podryguje nerwowo, i tylko jakaś niewiasta kręci się niespokojnie na fotelu, bowiem sprężyny foteli teatralnych są zwykle dyabła warte. W przedsiönku bębni pianino, które jest nieinteligentne, bo zamiast „danse de macabre”, albo innej karawaniarskiej operetki, wrzeszczy najwyraźniej całym wnętrzem swoim: „Torreador do walki staje

rad”, jakgdyby krew ordynarnego francuskiego byka i krew francuskiego markiza ze sztuki Leona Frapié to było jedno i to samo. Znać jednakże, że straszne musiały się tu rozgrywać sceny, bo i pianino jest bardzo nerwowo rozstrojone.

Już jest ciemno i już jest cicho. Elektryczne dzwonki jęknęły krótko i przejmująco; tak musi dzwonić zbrodniarz, kiedy wchodzi do buduaru anielsko-pięknej kobiety, którą znaleziono rano ze szpilką w tyle głowy i z waletem pik, przybitym jej do serca tolekańskim sztyletem. Nic lepszego o tym dzwonku pomyśleć niepodobna. Kurtyna idzie w górę powoli i uroczyście, od czasu do czasu utknie, jakby jej było żal tych ludzi, którzy się tu za chwilę pławić będą we własnej posoce. Och!...

Sztuka dwuaktowa Laumanna i Oliviera. (Dwóch autorów,—to wróży coś złego)... Nazywa się „Nuit d'Illyrie”. Na scenie półmrok i panowie: Irawieff, Naumachikoff, Maskhinoff, Serge i tow. Oficerowie, generalicya i t. d. Robią spisek. Pułkownik Maskhinoff ma oberwane i zabrudzone epolety i największy temperament.

— Panowie, krzyczy, królowa Wanda znieważyla dziś moją żonę!

— Ha!

— Słowo honoru.

Pułkownik Irawieff się zachmurzył.

— To on wszystkiemu winien, król!

— Hańba!

— Tak! On jest pod panowaniem tej megery.

— Dobrze mu tak, po co się z taką żenił?

Zapłaci teraz za to.

— Panowie! Niema chwili do stracenia.

Osądźcie, co z nim uczynić?

— Śmierć!—szepnął sufler.

— Śmierć!—krzyknął wielce poza tem sympatyczny pułkownik Maskhinoff.

— Śmierć!—ryknął generał Sergiusz.

I kurtyna spada szybko, jak nóż gilotyny.

Akt drugi robi wrażenie składu trumien, ze sceny wieje chłód. Król Włodzimierz (Słowianin wprawdzie z afisza, ale typ mocno semicki z gęby) jest bardzo niespokojny; czuje, że się stanie coś złego; nie potrzeba wprawdzie na to aż króla, aby czuć, że się stanie coś złego, nic dobrego bowiem nigdy się nie stało w „Grand Guignolu”. Biega zrozpaczony po scenie i kłóci się z królową Wandą, co się zresztą zdarza nawet w królewskiej rodzinie. Królowa ostrzega: jesteś za łagodny, niczego nie umiesz zrobić i t. d. Nagle wśród nocy słychać w mieście jęk dzwonów. Co to? Patrzą na siebie w rozpacz. „Strach ich

chwytą, włos się jeży”... Krzyk, wrzawa w pałacowym ogrodzie; wpada oficer: spisek! Więc król i królowa chowają się do komórki na bieliznę, która widocznie w tem królestwie jest tuż obok królewskiego gabinetu. Za sceną grzmia karabiny, i oto w krótkiej drodze wyciągają spiskowcy biednego króla Włodzimierza i królową Wandę z komórki; jego zastrzelili, a ją—o królowo Wando!—ją położyli na stole, i jeden jej przypieka twarz papierosem, inny świecą pali jej nagie piersi, a trzeci, człowiek bez serca, wierci jej szpadą dziurę w brzuchu. Dosłownie. Kurtyna, nie mogąc znieść tego widoku, opada zemdlona, a publiczność się śmieje.

Sztuka ta jest atrakcją obecnego repertuaru. Królowa Draga i król Aleksander serbski bawią publiczność co wieczora. Nie zdarzyło mi się oglądanie weselszej bomby nawet w podmiejskich teatrach paryskich, ale przedsiębiorcom „Grand Guignolu” wszystko jedno; idzie o to, aby zbrodnia jechała na zbrodni, aby utrzymać reklamę teatrzyku, jako „teatru strachu i okropności”. Ma to swój specjalny urok i przyciągającą siłę. Kinematograf i literatura kryminalna nauczyły rozmiłowania się w zbrodniczych szczegółach i zwyrodniały instynkty; ludzie lubią niezmiernie widok ludzkich rzeźni. Rafinowanym trzeba zbrodni rafinowanych; pod tym względem repertuar „Grand Guignolu” nie miał sobie równego. Ponieważ się dziś już wyczerpała pomysłowość fabrykantów okropnych jednoaktówek, zeszedł „Grand Guignol” z rafinowanych na rzeczy ordynarne i beznadziejnie grube, jak historia, opowiedziana powyżej. Dlatego jest już dziś śmieszny; poza tem minął dawno urok jego nowości i, jak kabarety paryskie, tak i „Grand Guignol” stał się atrakcją jedynie dla cudzoziemców, dziwujących się obrzydłym okropnościom. Dla tych zaś, którzy ze wzruszeniem ramion przyjmują już najpomysłowsze rodzaje śmierci na scenie, daje „Grand Guignol” rzeczy wesołe, któremi przeplata sztuki „straszne”. I te wesołe jednoaktówki są w tym teatrzyku znakomite, tem zaś cenniejsze, że grane są niesłychanie; trudno o lepszych i lepiej zgranych aktorów, którzy, zmartwychwstawszy po odegraniu trupiej sztuki i poskładawszy porozrywane czy pokrajane swe członki, prześcigają się w grze w jakiejś lekkiej, bezpretensjonalnej jednoaktówce Maureya czy Bassana.

„Grand Guignol” nie miał nigdy nic wspólnego ze sztuką, jak nic z nią wspólnego nie ma produkcja karmienia zwierząt po menażeryach. W niektórych „okropnych” sztukach z repertuaru „Grand Guignolu” podziwiał się jedno: niesłychaną technikę roboty. Autorowie tych krwawych historii doszli do mistrzostwa w utrzymywaniu widza w napięciu, w pomysłach, którymi go tyranizują, w gromadzeniu szczegółów, którymi wywołują u widzów mimowolne, histeryczne okrzyki, w kombinowaniu niespodzianek. Wszystko dla widza jest tajemnicą, widz nie wie, co się stanie, wie to jedno, że—coś straszego. Sztuka może być najgłupsza, ale są tacy, którzy nerwów nie potrafią utrzymać w spokoju. „Twórca” takiej sztuki dokonywa szantażu na przeczulonej wrażliwości, zazwyczaj kobiecej; każdy się zresztą wzdygnie w operacyjnej sali w chwili ciężkiej operacji.

(DN)

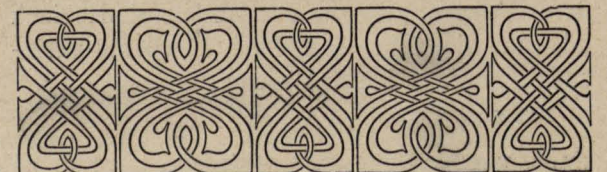


W „GRAND GUIGNOLU”.

— Na miłość boską, gdzie dyżurny lekarz?

— Zemdlął, panie, razem z całą publicznością.

(Karykatura A. Faivre'a).





BOLESŁAW PRUS:

## DWA GŁOSY.

KRONIKA TYGODNIOWA.

W tych dniach miałem sposobność przysłuchiwać się—rozmowie o kwestyi żydowskiej między dwoma panami, z których jeden, p. A., traktował ją ze stanowiska pesymistycznego, drugi, p. B., jak filozof-idealista. Rozmowa wydała mi się dosyć oryginalną i ciekawą, więc przytoczę ją, nie biorąc na siebie odpowiedzialności za wypowiedziane poglądy.

*Pan A.* ...Jeżeli więc kto łudził się dotychczas, że kiedyś tam, kiedyś... za naszych wnuków czy prawnuków, ogół ludności żydowskiej zwiększy liczbę polskich obywateli i patriotów, to już chyba dziś wyleczy się ze swoich przywidzeń. Tak zwana asymilacja, czyli spłynięcie się Żydów ze społeczeństwem polskim, skończyła się w sposób opłakany, jeżeli nie zupełnie śmieszny. Jedyne pismo żydowskie w polskim języku, *Izraelita*, upadło, ale za to żargonowe dzienniki i tygodniki mnożą się, jak bakterie drożdżowe. Ci, nie zbyt młodzi Żydzi prawowierni, którzy przed jakimś dziesiętkiem lat usiłowali mówić w rodzinach po polsku, dziś powracają do żargonu; ci, którzy stanowili niemały procent widzów polskiego teatru, obecnie zaczynają chodzić do teatrów niby-żydowskich, a naprawdę niemieckich. Jedyna polska synagoga straciła świętego polskiego kaznodzieję; pokolenie z lat sześćdziesiątych kładzie się do grobu, a jego miejsce zajmują tak zwani litwacy, już nie tylko separatyści, ale wprost—nieprzyjaciele naszego narodu...

„Uczyniono wyłom w polsko-żydowskiej asymilacji!... — woła jedno z pism żargonowych. — Niemaló jeszcze strat poniesie obóz spolszczonych Żydów, a pomnoży się liczba „nawróconych”, którzy pójdą z powrotem do swego ludu i zduszą w sobie resztki nadziei, marzącej o jasnej przyszłości, wśród „wielkiego narodu polskiego”... Czuje pan ton frazesu: „wielkiego narodu polskiego”?...

*Pan B.* Czuję i przypominam sobie nasze dawne przysłowie: na pochyłe drzewo i kozy skaczą... Ale jednocześnie przychodzi mi na myśl inne przysłowie, bodaj czy nie arabskie: nie pluj w studnię, bo jeszcze się z niej wody możesz napić...

*Pan A.* Dzisiaj oni już nie tylko do naszej pluja studni... Czytałeś pan naprzykład uchwały zjazdu rabinów w Warszawie?... Nie chcą, ażeby chłopcy żydowscy uczyli się w szkołach chrześcijańskich, a dziewczęta ażeby uczyły się wogóle; natomiast chcą sami mianować członków zarządu gmin izraelskich, chcą wydawać rozporządzenia, obowiązujące Żydów, pragną cenzurować literaturę żargonową, ażeby i ona nie rzuciła jakiegoś światła w żydowskie masy, a nawet chcą rozciągnąć dozór nad koncertami żydowskimi, gdyż niekiedy po nich—mężczyźni tańczą z kobietami, co jest rzeczą dla rabinów nieprzystojną i niemożliwą...

*Pan B.* Jakież pan wyprowadza wnioski z tego?...

*Pan A.* Że sprawa uobywatelenia Żydów cofnęła się, że rów, dzielący chrześcijan od Żydów, rozszerza się i pogłębia, a my, zamiast nowych współziomków, zyskujemy

nowe gromady nieprzyjaciół złośliwych i fanatycznych.

*Pan B.* Czy pan nigdy nie korzystał z usług Żydów niezasymlowanych, obojętnych dla naszej narodowości, nawet licho mówiących po polsku? Czy nie i nigdy nie kupował pan u żydowskich szewców, krawców, rzeźników, handlarzy i piekarzy?... Czy nigdy nie jeździł pan z furmanami żydowskimi, tęskniącymi za Palestyną, ani nocował w żydowskich zajazdach, szczególnie na prowincyi, gdzie prawie cały handel, komunikacja i wiele rzemiosł znajduje się w rękach Żydów?

*Pan A.* Owszem, kupowałem towary od prawowiernych Żydów, jeździłem z nimi, nocowałem w ich zajazdach i jadałem ich rosóły na ęsinie w czasie popasów.

*Pan B.* A czy nigdy nie słyszał pan o Żydach inżynierach, lekarzach, artystach, uczonych?... A może ani razu na padole ziemskim nie spotkał pan Żydów rozumnych, uczciwych, gorących Polaków, niestrudzonych działaczy sprawy publicznej i obywateli pełnych ofiarności?...

*Pan A.* Owszem, znałem i znam Żydów wielkiej moralnej i społecznej wartości.

*Pan B.* Jeżeli tak, więc—ma pan i asymilację w dwu postaciach. Z jednej strony Żydzi prawowierni oddają usługi ekonomiczne polskiemu społeczeństwu, rozumie się, za stosownem wynagrodzeniem, a z drugiej—ma pan garsteczkę Żydów ofiarnych, którzy narodowi naszemu poświęcają nie tylko swoją pracę bezinteresowną i pieniądze, ale nawet tradycje i stosunki rodzinne...

*Pan A.* Sam pan mówi, że tacy Żydzi stanowią ledwie garsteczkę...

*Pan B.* (z naciskiem). A nasi, panie, ludzie ofiarni, a nasi nie liczą się na garsteczki?... Niech-no pan dobrze pomyśli: my, Polacy, posiadamy miliony ludu polskiego, obojętnego dla spraw publicznych, i garstkę inteligencji ofiarnej. Zaś obok tamtych stoi znowu milionowa masa żydowska obojętna i znowu garstka inteligencji ofiarnej. Czemże więc tamta obojętność i ofiarność różni się od tej obojętności i ofiarności?...

*Pan A.* Tem, iż Żydzi—*primo*—nie są Polakami, *secundo*—są nieprzyjaciółmi polskości.

*Pan B.* Tu acana czekałem!... Więc naprzód powiem jegomości, dlaczego Żydzi nie są Polakami, a następnie—może uda mi się wytłómaczyć, że: niechęć do polskości, o ile takowa naprawdę istnieje, nie ma żadnego związku z istotą judaizmu.

Dwa są narody, które od kilku tysięcy lat przechowały swą indywidualność: Chińczy-

cy i Żydzi. W szczególności Żydzi przetrwali w dziejach: Egipcyan, Asyryjczyków, Persów, Greków, Rzymian, rozmaitych Gotów, Franków, Hunnów. Przetrwali wśród najcięższych, jakie można sobie wyobrazić, warunków, za co powinniśmy ich wysoko cenić, ponieważ krwawa, nieszczęsna ich historia uczy nas, że—naród może być prawie nieśmiertelnym, jeżeli... na to sobie zasłuży... I że nawet, w złych dla narodu czasach, nie trzeba, głupio jest upadać na duchu...

A jeżeli Żydów nie wynarodowiło dwadzieścia stuleci i dwadzieścia potężnych cywilizacji, to jakże pan chcesz, ażeby nasza, bardzo skromna cywilizacja przerobiła ich w ciągu lat pięćdziesięciu?...

Co się zaś tyczy nienawiści Żydów do nas, to, jeżeli ona nie jest zwykłą niechęcią, wywołaną przez naszą niechęć, ale nawet—żywiolową namiętnością, w takim razie sprzeciwia się duchowi judaizmu, rozkłada go i grozi nielawną śmiercią narodowości żydowskiej.

*Pan A.* Tego nie rozumiem...

*Pan B.* Zaraz pan zrozumie. Jak pomarańcza składa się ze skórki, mięsa i nasion, najważniejszej, bo nieśmiertelnej części owocu, tak narodowość wogóle, a judaizm w szczególności, składa się: z języka, który stanowi warstwę najzewnętrzną, ze zwyczajów, które są już głębszym zjawiskiem, i nareszcie—z idei, która stanowi nieśmiertelny życia pierwiastek. Otóż judaizm, jak wszystko, co żyje, musi—rozwijać się, czyli: zmieniać na lepsze. Więc najpierwej, po wiele razy, zmieniał się język Żydów, później—bardzo powoli—zmieniają się ich obyczaje, a nie zmienia się, tylko staje się coraz zrozumialszą—idea judaizmu.

Żydzi u nas, z powodu ich nagromadzenia, stąd koniecznej ciasnoty i tarcia ze społeczeństwem chrześcijańskim, Żydzi u nas wpadli jakby w sen zimowy, w letarg; więc utrzymuje się ich—obcy żargon, więc trwają ich koszerne i trefne obyczaje, a jednocześnie ich idei... prawie że nie widać!... Ale weź pan Żyda francuskiego, albo angielskiego. Nie znajdziesz u niego żargonu, spotkasz bardzo złagodzone zwyczaje religijno-hygieniczne, ale za to, o ile taki Żyd odezwie się w literaturze, możesz usłyszeć poglądy bardzo humanitarne, a przynajmniej oryginalne i głębokie. W tych bowiem ludziach pełnym blaskiem jaśnieje idea judaizmu...

*Pan A.* A jakąż ona jest, jeżeli wolno spytać?...

*Pan B.* Właśnie o tem chcę mówić. W judaizmie uderzają mnie trzy pierwiastki ideowe. 1-mo silna wiara w Boga, 2-do wysoka moralność: nie zabijaj, nie kradnij, nie kłam, nie czyn drugiemu, co tobie niemiło... i 3-cio wielka cześć dla pracy umysłowej: kto nie chce się uczyć, nie godzien żyć; kto nie powiększa swej wiedzy, ten ją zmniejsza; człowiek ciemny nie potrafi być dobrym i t. d.

Ze względu na trwałość społeczną, obok Żydów postawiłem Chińczyków. Oni bowiem także wyrobili sobie nieśmiertelne idee: naprzód—wiarę w obowiązek, następnie wiarę w konieczność ciągłego doskonalenia się, i nadto—cześć pracy fizycznej i umysłowej, miłość bliźnich i t. p. Takie to wielkie idee zapewniły Chinom długą trwałość.

Otóż, wracając do Żydów, powiem panu, że: jeżeli rabini wy-



PRACA

LEOPOLD WASILKOWSKI





„NASZA PATRONKA”



LEOPOLD WASILKOWSKI

„PAX”  
Z V Salonu dorocznego

stępują przeciw oświacie, albo jeżeli żydowscy dziennikarze sięją niechęć do nas, to zarówno jedni, jak i drudzy, zniesławiają i podkopują judaizm, który zaleca, nakazuje rozwijać umysły, a potępia nienawiść. O ile zaś ludzie ci zbyt uporczywie trzymają się żargonu i zwyczajów przesądnych, o tyle swój własny naród utrzymują w letargu i skamieniałości.

Krótko mówiąc: nie lękam się judaizmu. Gdyż, jeżeli rozwinię się on, to musi wyszlachetnieć, a jeżeli nie będzie się rozwijał, stanie się klęską nie dla nas, ale dla Żydów.

*Pan A.* Przepraszam, ale — wspomniał pan, że idee sprzyjają trwałości narodów...

*Pan B.* Naturalnie idee rozległe i szlachetne. One bowiem jednoczą naród, wskazują mu drogi i stawiają cele korzystne dla rozwoju.

*Pan A.* Chciałbym tak coś na przykładzie...

*Pan B.* Owszem. Wyobraźmy sobie, że nasz naród, jakimś cudem, wchłonął w siebie taką ideę: „Dążyć do doskonałości, za pośrednictwem pracy użytecznej, przy świetle

pomyślnych i niepomyślnych wypadków, czyli: przyjemności i przykrości”.

*Pan A.* Niezbyt jasno...

*Pan B.* Zaraz wyjaśnię. Krawcowi, zamiast pieniędzy, odesłano uszyty przez niego garnitur. Głupiec powiedziałałby sobie: nabywca kapryśny!... wyzyskiwacz!... nie chce płacić!... Ale mądry, przejęty wspomnianą wyżej ideą, zastanowi się: spotkała mnie przykrość, dlaczego? Bo garnitur źle uszyty, bo szyłem go niedbale. Pracuje tedy mój krawiec staranniej, przyzwyczajają się do porządnej roboty, czyli: doskonalili się i w rezultacie — zarabia coraz więcej, zyskuje przyjemność. W tym krawcu musiało być trochę nie-polskiej krwi; my bowiem mamy zwyczaj nasze niepowodzenia przypisywać innym, uważamy się za skończenie doskonałych i... nie lubimy, o!... nie lubimy pracować...

Zastosujmy to do kwestyi, dręczących nas obecnie. Żydzi porzucają pisma polskie, a biorą się do żargonowych. To nam robi przykrość. Lecz, gdy zamiast wymyślać Żydom, zapytamy: dlaczego tak jest?... dlatego, odpowie rozsądek, że w naszych pismach nie poruszamy kwestyi, obchodzących Żydów, albo

poruszamy je niedbale. Gdybyśmy, pod wpływem tej uwagi, zreformowali nieco nasze pisma, stalibyśmy się doskonalszymi, a nasz głos wobec Żydów miałby większą wagę.

Inny przykład. Prusacy zasypują nas swoimi towarami — robią nam przykrość. Lecz, gdybyśmy, zamiast ogłaszać niespełniany bojkot, wzięli się do tworzenia brakujących nam gałęzi przemysłu, innemi słowy: gdybyśmy — udoskonalili się, ogłaszanie „bojkotu” byłoby zbyteczne, gdyż, mając własne towary, nie potrzebowalibyśmy ciągnąć ich z Prus...

Gdybyśmy zaś, pod nieśmiertelnem hasłem: „doskonalenia się“, powoli i stopniowo ulepszali nasze: rolnictwo, rzemiosła i fabryki, handel i komunikacje, porządki domowe i żywność ludu, wychowanie i zwyczaje towarzyskie, literaturę i sztukę, a nareszcie — naszą smutną logikę i woskowe charaktery, ani Żydzi, ani Prusacy nie byłiby nam niebezpieczni. Wielka idea osłaniałaby naród, jak pancerz, i do coraz wyższej kultury wskazywałaby drogi najpewniejsze; nie jak dziś — chaotyczne ścieżki, po których błąkamy się, niepewni jutra, niezadowoleni z całego świata, a przede wszystkim z samych siebie.



JÓZEF WEYSSENHOFF:

# STRATA.

Rzadko skon wywołał tak ogólny i szczery żal publiczny, jak zgaśnięcie ś. p. Adama hr. Krasieńskiego, ordynata opinogórskiego. Ciężko było umierać młodemu jeszcze, oddalonemu od kraju, od dzieł rozpoczętych, patrzącemu na świat słoneczny i błękitny włoskiej Rivieri, która jednak nie zdołała przebłagać zawczasie ogarniających mroków śmierci. Ciężko było zgromadzonej rodzinie żegnać dobrego syna i męża, ostatniego potomka urodzajnego dla ojczyzny szczepu. Takie pierwsze myśli owionęły wyobraźnię tych, którzy osobiście znali ś. p. Adama Krasieńskiego, a był ich cały zastęp. Zaraz potem powstało rozpamiętywanie współobywateli nad stratą, którą kraj poniósł przez ubytek szlachetnego człowieka.

Nie należał bowiem ś. p. Adam Krasieński do obojętnych dla ogółu członków możnej koteryi, którzy w godzinach wolnych od zabiegów osobistych udzielają społeczeństwu swemu wyniosłej rady lub minimalnej w stosunku do możliwości ofiary pieniężnej, żądając w zamian głośniego uznania... dla cnót praocjów. Ten młody pan, autentyczniej, niż wielu innych, wylegitymowany z dziedzicznych tytułów do poszanowania, zyskał sobie szacunek niezależny od tradycji, którą ceniał, przez dobrą służbę ojczyźnie, którą kochał.

Miał wybitne zalety publicznego pracownika. Inteligencją bystrą i nie zasypiającą łatwo obejmował każde zadanie, a zdolności swe przyrodzone wzmocnił dużą wiedzą i wyćwiczył w wielu okazjach, następczych przez jego szczere powołanie obywatelskie. Śmiało można powiedzieć, że miał zawsze na celu „salus Reipublicae”, a nie chował w zanadrzu widoków swych osobistych. Potrafił w wielu wypadkach dotrzeć do celu, umiał nawet zawrócić z drogi, gdy ją uznał za mylną, i nie zniechęcił się, nie zgasił w sobie ciągle żywego pragnienia użyteczności i dobrego postępu. Niespożyta energia paliła w tem wątlm ciele, które przypominało o sobie często, że nie sprosta porywom żarliwego ducha.

Nietrafnie sądzili go z zewnętrznych zupełnie pozorów ci, którzy mu przypisywali chęć odznaczenia się i wywyższenia. Jakkolwiek słuszenie możnaby tę jego ciągłą gotowość do udziału w robotach krajowych nazwać uprawnioną ambicyą, przytoczyć nie trudno liczne przykłady, dowodzące przeciwnie, że Adam Krasieński ustąpił w wielu wypadkach miejsca, jemu należnego, innym, a uczynił to bez goryczy i bez nadęsania, byle robota szła, byle sprawa zakwitła. Nic dziwnego, że był redaktorem i głównym żywicielem *Biblioteki Warszawskiej*; że go zaufanie publiczne powołało na prezesa rady



Adam hr. Krasieński, wnuk Zygmunta.

nadzorczej polskiej „Macierzy szkolnej”, tego najszacowniejszego dorobku naszego w rozpoczętym wieku; że w każdej dobrej pracy był międzypionierami, a w niektórych dziełach ostał się na czele. Miał do przewodnictwa rzeczywiste kwalifikacje.

W całym szeregu dzieł zbiorowych naszej epoki widać ślad jego ręki, zawsze pracowitej i wyjątkowo hojnej. Gdy się wie, że ordynacja opinogórska, nawet łącznie z dużym majątkiem osobistym zgasłego ordynata, nie dorównywała pierwszorzędny w kraju naszym fortunom, suma ofiary Adama Krasieńskiego na cele publiczne i dobroczynne przejmując tem większym podziwem i uznaniem.

Wspominając o nim, wypada straty zapisywać po stratach. Na innym znowu polu upadł kwiat podcięty. Ś. p. Adam Krasieński miał wrodzoną wybitną zdolność słowa. Słyszeliśmy go wszyscy, przemawiającego publicznie z rzadką łatwością i dobitnością wystąpienia, pochodzącą jakby z atawizmów parlamentarnych. Człowiek ten przeznaczony był na szermierza, na krzewiciela myśli

za pomocą żywego słowa, na rzecznika z wyborów. Że nie został posłem—to tylko jaśkrawy przykład nietrafności naszych wyborów. Inaczej, nieco trudniej wyrażał się ś. p. Krasieński w słowie pisanem. Pomijając pierwsze, młodzieńcze, nader jednak udatne żarty literackie, mówię o jego pracach, drukowanych w *Bibliotece Warszawskiej*, gdzie wydał i komentował nieznane utwory swego dziada Zygmunta, a umieszczał też i artykuły polityczne aktualne. Proza jego, zrazu przeładowana bogactwem i natłokiem myśli, trochę nasiąknięta poetycką tonacją Zygmunta, dążyła ciągle do udoskonalenia, aż nabrała siły i barwy własnej, np. w ostatnim świetnym artykule p. t. „Dwa światy” (Polska i Rosya). Pisywał także wyborne wiersze, zupełnie od tradycji Zygmuntowej niezależne, i tych, o ile wiem, nigdy nie drukował. Sam słyszałem nie wydane jego wiersze z Egiptu, pełne kunsztu i melodyi, niezaprzeczenie wzniosłe i szlachetne „godziny myśli”. Bliżsi znajomi i spadkobiercy zmarłego może kiedyś udzielią coś z tej spuścizny szerszej publiczności.

Poezya zdawała się poufną, najgłębszą istotą duszy ś. p. Adama Krasieńskiego. Nie literatura, ale poezja w życiu. Niema w tem spostrzeżeniu sprzeczności z realnym, pracowitym i obowiązkowym żywotem zgasłego ordynata. Motorem jego działań było to szczytne dążenie do przekucia tradycyjnej pieśni na „czynów stal”, a celem idealnym ewolucja Polski z dawnych jej cnót i piękności, nie zaś Polska, przeistoczona do gruntu, zamieniona na jakąś inną, problematyczną, pełną projektów cnót nowych i porażających się nawzajem „interesów”. W tych pojęciach był Adam Krasieński nie epigonem, lecz spadkobiercą i następcą wielkiego swego dziada.

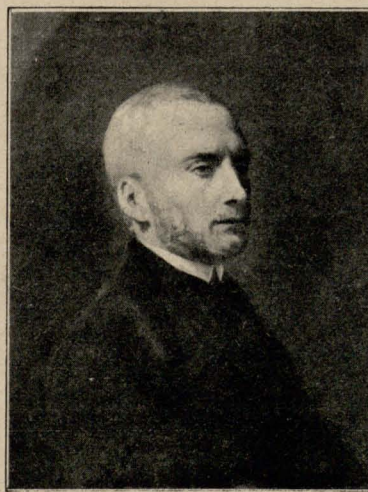
I może w chwili skonu, jak Zygmuntowy „Ostatni”, choć nie wszedł do krainy uszczęśliwionej, miał szczytną pociechę zobaczenia jej w obietnicy przyszłości. A już niewątpliwie miał spokój sumienia, że sił swych nie zdał bez pożytku, że spełnił nad zwykłą miarę swą służbę krajową podczas za krótkiej wędrówki. Wielkie i czynne serce oddając rodzinnej ziemi, nie wątpił chyba, że ziemia nad niem zakwitnie błogosławieństwem.



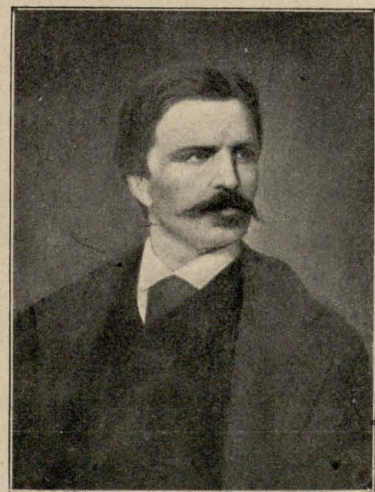
Jan Krasieński, starosta opinogórski, poseł na sejm Wielki, prapradziad Adama.



General Wincenty hr. Krasieński, pradziad Adama.



Zygmunt hr. Krasieński, dziad Adama.



Władysław hr. Krasieński, ojciec Adama.





Wachlarz, malowany przez prof. Stanisława Rejchana, a ofiarowany przez wice-prezydenta Rady Szkolnej krajowej we Lwowie, d-ra Ignacego Dembowskiego, arcyksiężniczkę Renacie, z okazji jej ślubu z księciem Hieronimem Radziwiłłem.

## „LAMUS“.

Jeszcze jedno szczytne usiłowanie! jeszcze jedna pochodnia światła czystego, żywy płomień sztuki szczerzej, wielkiej! jeszcze jedna szlachetna próba podniesienia kultury artystycznej, której naszemu społeczeństwu brak tak bardzo!

Tkwi w tonie naszego narodu jakieś dziwne nieporozumienie: uważamy się za bardzo muzycznych i chodzimy na koncerty i opery; za bardzo subtelnych znawców sztuk plastycznych i nawiedzamy tłumnie wystawy; za bardzo gorących wielbicieli literatury i prowadzimy namiętne debaty o nowych dramatach lub powieściach—a w gruncie rzeczy wszystko to bardzo mało nas interesuje, choć o wszystkim wypowiadamy sądy apodyktyczne.

I oto czasem zjawi się taki śmiałek, samotny miłośnik rzeczy pięknych, rozświeci ognisko wielkie dostojnych wrażeń estetycznych, życie w to wkłada... A my—kiwamy w podziwieniu głowami, jak nad karkołomną sztuką ekwilibrystyczną—i odchodzimy ze spokojem w duszy.

Ognisko gaśnie, jak zgasa *Chimera* i tyle innych pięknych poczynań...

Los poprzedników nie odstrasza jednak następców, którzy chcą wierzyć—*contra spem*—że nadejdzie chwila, i obudzi się dusza narodowa do wrażeń artystycznych.

I niosą wytrwale przed narodem „oświaty kaganiec...”

„Lamus”.

Nie lamus to, ale skarbnica bogata, oto hojna, barwna i wonna wiąz kwiecista poetyckiego dawnych i dzisiejszych twórców. Bo *Lamus* to nie kapliczka, ale świątynia piękna, bo *Lamus* nie tylko chce z żywymi „naprzód iść i świecić”, ale i nie „burzyć przeszłość ołtarzy”. Więc wydobywa z zapomnienia nieznane utwory mistrzów romantyzmu, starannie je odkurza i ustawia z nabożeństwem na miejscu widocznym, jak odnalezione w pyle drogie po ukochanych ojcach pamiątki.

A obok—najczystszej wody perełki poezji współczesnej. I to nie byle jakie nazwiska: obok Kasprowicza—Wyspiańskiego, przy Staffie—Włodzimierz Tetmajer. Piękna winieta okładkowa ołówka Leona Wyczółkowskiego, ze smakiem wykonane ilustracje Matejki i Grottgera, portret Norwida... trudnoż o dobór treści podnioslejszej, szatę zewnętrzną—bardziej artystyczną.

Oto piękne i godne pochwały najwyższej poczynania kierowników *Lamusa*: literackiego, którym jest p. Michał Pawlikowski, artystycznego, Feliksa Jasińskiego. Niema bowiem tu nic, co by nie nosiło na sobie piętna wyższego artysty.

A na dowód—kilka zwrotek z podniosłego wiersza Wł. Tetmajera, p. t.: „Do mojej żony” (z cyklu: „Bronowskie Wczasy”);

Ty moja wierna towarzysko wdzięczna!  
Co mnie, jak anioł, strzeżesz w życia burzy!  
Błogostawiona mi ta noc miesięczna,  
Kiedy—z tułaczem wróciwszy podróży—  
W półmrocznym sadzie, w pozłocie księżyca  
W anielskie twoje wpatrzyłem się lica.

Odtąd bez ciebie nie zrobię i kroku!  
I myśleć nawet nie umiem bez ciebie!  
A ty, jak anioł, idziesz mi u boku!  
Drużko ty wierna! ucieczko w potrzebie!  
W tobie wiesz polską, polskie role żyjne—  
I całą w Tobie ja widzę Ojczyznę!...

Ty moja wierna towarzysko wdzięczna!  
Co, jako anioł, idziesz mi u boku!  
Błogostawiona mi ta noc miesięczna,  
Kiedym ci wierność przyrzekł—w sadów mroku!  
Błogostawione twoje ciche gniazdo!  
Błogostawionaś ty! mej drogi gwiazdo!

Trudno o piękniejszy, czystszy i szczerzy  
wyraz uczuć serdecznych i głębokich...

A *Lamusowi* i jego kierownikom zasyłamy  
szczerze życzenia: niech gromadzi skarby, niech  
zbiera ziarno na siejbę, na przyszłe żniwo.

J.



SZKIC OŁÓWKOWY (z pierwszego zeszytu „Lamusa”)

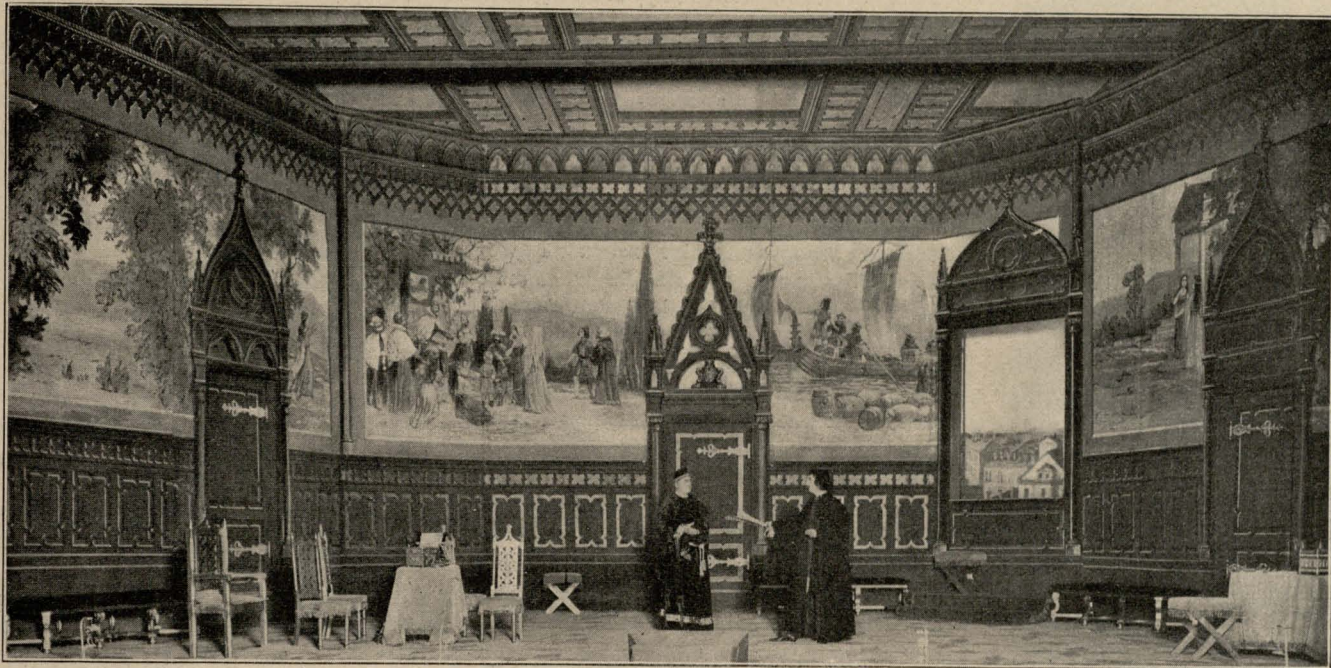
ARTUR GROTTGER



WINIETA OKŁADKOWA „LAMUSA”

L. WYCZÓLKOWSKI





„LA BESTIA”, DRAMAT J. ŻUŁAWSKIEGO, SCENA Z AKTU I.

## WIECZORY TEATRALNE I MUZYCZNE.

(Mozajka teatralno-muzyczna z dwóch ubiegłych tygodni. — Wizje bliższej i dalszej przeszłości. — Wiecznie świeży głos i nieustannie śpiewne skrzypce. — Awantury weneckie. — Cudowny dar w pospolitych dzieciach. — Konia z rzędem za szczyptę t. zw. „zdrowego” humoru).

Bilans teatralno-muzyczny ostatniej doby prezentowały się, w ideowym określeniu, mniej więcej, jak następuje:

Sensacyjne . . . . .	„Białe pawie”
Ciekawe . . . . .	Występy Sary Bernhardt
Ucieszna . . . . .	„Jadzia wdowa”
Ulubione . . . . .	Występy Battistiniego
Poroniona . . . . .	„La Bestia”
Deserowy . . . . .	Koncert Kubelika
Semper vivens . . . . .	G. Fittelberg
Fenomenalna . . . . .	Irenka Enéri
Nieśmiertelny . . . . .	„Bogaty wujaszek”
Kapitał żelazny, rezerw.	„Przywódcą”, „Wyzwanie”, „Madame Butterfly”, „Krysia leśniczanka”, koncerty popularne w Filharmonii.

Z taką podstawą i z takimi urozmaicheniami repertuaru, można prowadzić wcale pomyślnie kampanię sezonową teatralno-koncertową. Zwłaszcza, że publiczność akurat przy rzetelnej ochocie do patrzenia i słuchania!

Tedy, nawet krakowska sztuka *à clef*, osnuta na czysto literackich tematach, pomimo wcale krytycznych uwag w prasie, zdobyła sobie całkiem wyjątkowe powodzenie. W dodatku, literackie „białe pawie” poschodziły już z areny aktualności. P. Konczyński przypiął im łątkę—*post festum*. Pościągął przykładnie kabotynizm z koturnów; nastroje sztuczne, a historyczne poobnażał, lecz nie wywołał ani mocnych, ani nawet ściśle określonych wrażeń i wzruszeń. Nikła, prawie banalna akcja dramatyczna rozplynęła się w zbyt szerokich ramach aż trzech aktów. Wizerunki wyszły zbyt groteskowo; więcej w nich roboty literackiej, bardzo zresztą kulturalnej i wykwintnej, niż życia scenicznego.

Rozmach był wzięty, bodajże, na egzekucję *en règle*; tymczasem autor „Białych pawi” zdobył się tylko na wyszukanie stylizowaną chłostę, zakrawającą na *marivaudage* nie tylko z t. zw. „przypyszczyszczyną”, nie tylko z publicznością, ale i z samym sobą.

Błędem kardynalnym sztuki jest uczynienie

pospolitego „łowcę posagowego” pryncypalną figurą. Niechby go niosła na najohydniejsze nawet manowce: nie żądza... posagu, lecz — rozgłosu, za bądź jaką cenę! Mielibyśmy wówczas przed sobą kwestyę, sondowaną głębiej i ujętą istotnie za jądro.

Lecz z podziwkami o wiele dalszej przeszłości, niż dekandyzm literacki polski, zetknęła nas — Sarah Bernhardt. Przypomniała nam, zmierzającą już dziś bezpowrotnie, świetność—własną. Ani słowa, świetność to była nadzwyczajna, jedyna swego czasu na horyzoncie kunsztu aktorskiego, ale—bodajże roztropnie było pozostawić w spokoju wielkie tradycje wielkiej Sary i nie rozwodzić „żywych” strzępków własnej świetności—po świecie. Dla polectania i wyeksploatowania... ciekawości ludzkiej? Wielkiej artystce, a była nią i jest Sarah Bernhardt, nie godzi się takiej podejmować imprezy... Więc—omamienie? Więc sądzić w dobrej wierze, że nadludzkim wysiłkiem można, jak Jozue słońce, zatrzymać w biegu *czas* bodaj na godzin kilka teatralnego widowiska?

Przypuścić wolno, że takie fatalne omamienie przywiodło do nas Sarę, nie zaś — o której mówiono—pospolita gonitwa za monetą.

W każdym razie, ciekawość naszą zaspokojono, a i to coś znaczy. Jenó, że dokonały tego w doskonałej mierze: dwa, jak obszył, spektakle—„Orlątko” i „Dama kameliowa”. Niktby już na trzecie widowisko nie poszedł.

Moment był bardzo śliczny... Wróciliśmy jednak z rozkoszą do świeżości głosu Battistiniego, a nawet p. Carmen Melis. Ta ostatnia pokazała nam jeszcze jedną odmianę „Madame Butterfly”: gejszę *au naturel*, nawet odrobinę ordynarną. Ale nic nie szkodzi. Battistini zaś debiutował—nie fartygując się—w „Fauscie”, jako... Walenty jedno-urowyowy, a nie zwlekając, uraczył nas „Hamletem” Thomasa, jedną z najnieznośniejszych oper... Ale—wystarczy, że Battistini śpiewa nam! Snobizm warszawski ma jeszcze jedno ukontentowanie—i już.

Wszak p. Fittelberg, wzięwszy rozpęd w wielką muzykę najnowszego stempla, zabrnął aż w *pur sang* symfoniczny impresjonizm. Wysłuchaliśmy między innymi niedawno, ani drgnawszy, ...eksplikację muzyczną poemaciku wierszem—jeszcze mniej zrozumiałego, niż muzyka „impresjonistyczna” Debussy’ego. No i byliśmy najszczerzej przekonani, że słuchamy interpretacji muzycznej owego „L’après-midi d’un faune” Malarmé’go... Ach! Snobizm w takich wypadkach jest połową szczęścia.

Za to—Żuławskiego sztukę pięcioaktową, „La Bestia”, to i dziecko zrozumie. Prostota posunięta do naiwności w połączeniu z demonicznie-krwawymi okropnościami! Czyli może być wdzięczniejsza kombinacja! Zaś rzecz się dzieje w samej Wenecji przed półtysiącem lat, w samym pałacu

dozów (szczegóły w Baedekerze), a rozgrywa się wśród wspaniałych dekoracji i mnóstwa pstrych i osobliwych kostymów. Rzecz zaś cała bez krzty poezji i artyzmu, urągająca psychologii, chłodna najzupełniej, sztuczna i nużąca.

Krócej jeszcze mówiąc: p. Marcello-Palińska, artystka nieposzredniej miary, która poza jubileusz swój przenosi pełną siłę talentu, temperamentu i ekspresji dramatycznej, mogła być uczynić dla benefisu swego jubileuszowego—lepszy wybór. Ot, chociażby coś z Szekspira. P. Marcello-Palińska miałaby świetną rolę na swój jubileusz, a sztuka zostałaby w repertuarze warszawskim, powtarzana stale. „La Bestia” zaś, powitana do tego stopnia chłodno, że nawet nie rozległy się na premierze tradycyjne wołania: autor! autor!—pogości na repertuarze bardzo krótko i zejdzie zeń, nie żalowana przez nikogo.

Można bowiem pod piórem literackim urodzić istne monstrum, można napisać utwór dramatyczny nie do grania, ale—trzeba, aby w dziele poetyckim była nieuchwytna, ale łatwa do odczucia: *iskra Boża*, która się w mowie potocznej nazywa: Poezyą.

Oto—dla przykładu—zjawia się na estradzie Filharmonii ...dziecko dziesięcioletnie, Irenka Enéri (pseudonim Rosyanki, Gorajnowny) i gra na fortepianie arcydzieła—prześwietnie. W dodatku sama już komponuje.

Cała fenomenalność dziecka „cudownego” polega na tem, że zdolne było przyswoić sobie niezbędną, a ogromną—biegłość techniczną muzyczną. Resztę sprawia to—coś, które zwiemy „talentem” w ubogiej, płytkiej, ułomnej mowie naszej...

Pomówmy o czem innym.

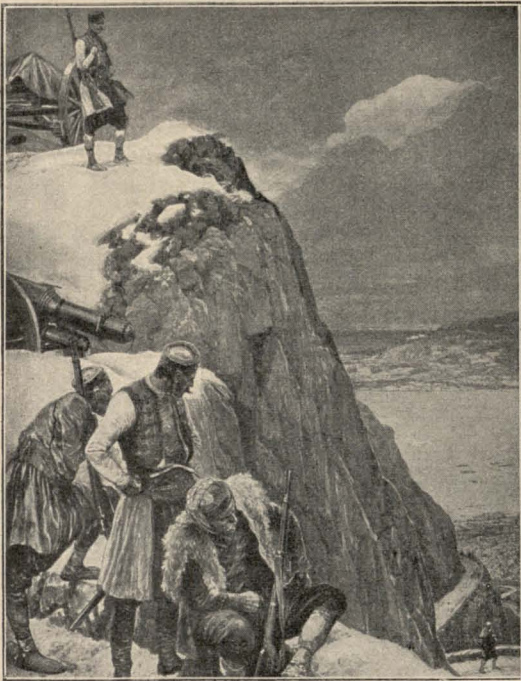
Chyba jednak nie o Kubeliku. Stanął już on poza wszelkimi hiperbolami ludzkiego zachwytu—i stoi. To ostatnie tylko pozostaje nam stwierdzić, oczywiście z żywym zadowoleniem.

Natomiast, że Ruszkowskiego względnie już dobrze odleżała krotoczwila „Jadzia wdowa” podobna się dziś jeszcze (mówiąc nawiasem, w doskonałej, jak zwykle, interpretacji artystów naszych z Teatru Letniego), to zasługuje na zarejestrowanie nie tylko w kronice teatralnej bieżącej. To już prawie—objaw. Humor niefrasobliwy, bez pieprzu francuskiego, smakuje nam jeszcze.

Ba, tylko że sam Śliwiński, przy najusilniejszym staraniu, nie znajdzie wiele takich „białych kruków”, jak „Jadzia wdowa”. W tem sęk. Szczypta nie, francuskiego, a nie płaskiego, przyzwoitego humoru okrutnie nam potrzebna...

Nie wiedzieć tylko, gdzie ją znaleźć.





Czarnogórze czuwa! Na granicy pod Kotarem.

## Na szerokim świecie.

*Odgłosy wojenne. — Zatarg bałkański, jako splot różnych sporów. — Demonstracja solidarności słowiańskiej. — Rozkład państw mahometańskich. — Zapasy aeronautów.*

Wiadomości z blizkiego Wschodu brzmią bardzo sprzecznie: na wysoki ton wojenny nastro-

szemy te słowa—telegramy doniosły o nieuniknionej wojnie, nawet o planie ataku od strony Adryanopola. Nie przestaje jednak i tu przyświecać nadzieja szybkiego zaprzeczenia.

Znęcona przykładem Bułgarii, Serbia pragnie także zysku z przesilenia. Z tej strony najmocniejsze zdawało się grozić niebezpieczeństwo, najgłośniejsze rozlegało się pobrzękiwanie szablami. W ambicyach wielkoserbskich sekunduje jej małeńkie Czarnogórze, które czuwa na swoich niedostępnych skałach, a obraduje w najmniejszym na świecie parlamencie. I nie baczy, że w razie zwycięstwa otworzyłyby się spadki tradycji wielkoserbskich przy dwóch spadkobiercach, Piotrze serbskim i Mikołaju czarnogórskim. Mniejsza zresztą, póki starsi i rozważni monarchowie panują. Ale obok nich wyrosła młodzież, żądna chwały i wawrynów bojowych, przeciwstawiająca się ostro rodzicom. Dochodzą nas przecież nieustanne wieści o zamierzonych abdykacjach, o gorszących zajściach. Powtarza się stara historia o ojcach i synach...

Tu także wojenne zapasy zdają się przechodzić w pokojowe łożysko rokowań dyplomatycznych. Na szczęście. Bo z walki orężnej bitnych i mężnych, ale drobnych w porównaniu z potęgą austro-węgierską narodów możnaby się spodziewać tylko morza krwi, przelanej—bezszykownie... Tymczasem—Serbia żąda wylotu na morze Adryatyckie i za tę cenę gotowa jest uznać szczęśliwość Bośniaków i Hercegowian pod berłem Habsburgów.

Tania cena! Ale bo też i szczęśliwość sporna. Bo tradycje wielkoserbskie—po tamtej stronie granicy państwowej i wyznawowej—znajdują przytułek także i pod cieniem Habsburgów, w dą-

sobie idące. A chociaż rządy obu państw zapewniają, że nie chcą mieszać się do spraw wewnętrznych Persji, przecież rozgraniczyły między sobą sferę wpływów, innymi słowy, przyszłe spadkobranie. Najbardziej skromna i ograniczona interwencja, w imię utrzymania ładu przedsięwzięta, jest zawsze objawem rozpadu państwa, którego sprawy reguluje.

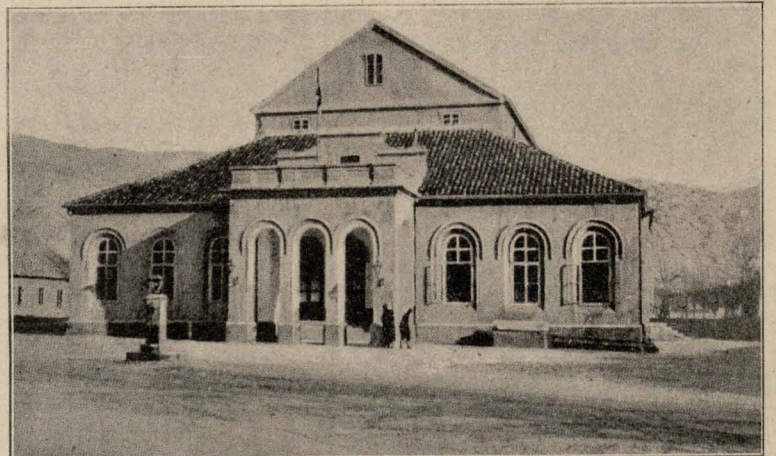
Tak więc z krajów, gdzie półksiężyc i Allah panuje i panował, dochodzą odgłosy wojenne. Gdy jedno małeńkie państwo na niedostępnej skale nad Adryatykiem czuwa pod bronią, drugie, również małeńkie, również na stromej skale położone, ale stopy jej pięści błękitna fala śródziemna, staje się areną popisów, tymczasem pokojowych.

W początkach lutego w księstwie Monaco odbędą się pierwsze międzynarodowe zapasy maszyn latających, pierwszy konkurs awiacji, z nagrodami 3 tysięcy, 400 i 300 funtów szterlingów. Jest już jednak dosyć usiłowań w tym kierunku, by konkurs międzynarodowy umożliwić. Tymczasem są to zapasy pokojowe, ale kiedyś mogą dać początek najstraszliwszym narzędziom zniszczenia, tak strasznym, że, doprowadzając wojnę do absurdu, mogą stać się najmocniejszą rękonią wiecznego pokoju wśród ludów. Niechże takie pragnienia przyświecają wlotowi aeroplanów, które nad piękną świątynią rulety szybować będą.

*Last but non least...* Zanotujemy na zakończenie wielką rozprawę polską w parlamencie niemieckim, wywołaną niegodnym stosowaniem znanego paragrafu językowego, w której, jak zwykle, zwycięstwo moralne pozostało po naszej stronie, reprezentowanej przez posłów Brejskiego, ks. Radziwiłła i ks. Stychla, gdy materialnie święci zaw sze tryumfy siła przed prawem...



Gmach skarbcza narodowego serbskiego w Niszu.



Parlament Czarnogórze w Cetynii.

jone depeze nazajutrz ulegają zaprzeczeniu, i dlatego tylko z wielkimi zastrzeżeniami można mówić o tem, że położenie na Bałkanach przedstawia się dziś bardziej pokojowo, niż przed kilku tygodniami.

Stworzenie faktów dokonanych przez Austro-Węgry i Bułgarię sprawiło efekt poruszenia mrowiska lub gniazda os. Aneksja Bośni i Hercegowiny, ogłoszenie królewskiej niezależności Bułgarii postawiło na porządku dziennym całe zagadnienie bałkańskie, czyli splot najróżnorodniejszych zatargów.

Więc pierwszy zatarg, turecko-austriacki, poprzednio najgroźniejszy, może z powodu potęgi obu państw, a wybuchający gwałtownie w żywiołowym bojkocie towarów austriackich przez lud turecki. Dziś prawie zażegnany—przez dyplomację, kosztem wielu milionów odszkodowania i zniesienia t. zw. kapitulacji, czyli przywilejów obywateli austro-węgierskich w Turcji. Ale lud nie chce złożyć broni w walce bojkotowej. Mimo usiłowań władz tureckich bojkot trwa, a przedstawienia ambasadora w Konstantynopolu są bezskuteczne.

Wasal i suzeren toczą spór w zatargu turecko-bułgarskim. Tu zdawało się wszystko załagodzone, gdy w tych dniach—w chwili kiedy pi-

żeniach do wytworzenia wielkiego państwa słowiańskiego z Kroacjami, Dalmacjami, Bośni i Hercegowiny. A za to o te marzenia wielkoserbskie, które ku innej stronie zmierzają, rozgrywa się obecnie w Zagrzebiu proces o zdradę stanu!

Nikle wygląda na półwyspie bałkańskim solidarność wszechsłowiańska! Obawiać się można, że daje w zmniejszeniu obraz wszystkich stosunków słowiańskich: wspólności rasy, ale silniejszego z pewnością współzawodnictwa dążeń, interesów, wpływów. Więcej w tem tkwi nienawiści, niż miłości i solidarności, jak zresztą we wszystkich stosunkach ludzkich...

Te wszystkie zatargi rozgrywają się na dawnym i obecnym terytorium odradzającego się, a jednak rozkładającego się państwa mahometańskiego—Turcji. I druga potęga Islamu, chociaż wedle innego obrządku, Persja, jest widownią poważnych rozruchów wewnętrznych. Na sposób bardziej współczesny, bo walczą tu konstytucjonaliści z władzą absolutną szacha, który, jak wiadomo, konstytucję cofnął, a rewolucyoniści pomimo to są panami niektórych prowincji wielkiego państwa. W roli obrońców konstytucji występują dwa państwa europejskie, Rosja i Anglia, po raz pierwszy na tym gruncie obok siebie, a nie przeciwko



Afisz konkursu żeglugi powietrznej w Monte Carlo.



# GILOTYNA.

PAMIĘCI LEKARZA-FILANTROPA.

Obecny rząd francuski jest przeciwnikiem kary śmierci; przeciwnikiem jej jest również i prezydent Fallières. Skutkiem tego od czterech lat nie było we Francji żadnej egzekucji. Konsekwentny rząd przedstawił wniosek prawodawczy, znoszący karę śmierci. Ale wniosek został odrzucony. Trzeba



Najlepsze mu obywatelowi! Dr Guillotin, podług współczesnego miedziorytu.

żyć kat!... Ponure narzędzie zaczęło znowu pracować. Warto przy tej okazji przyrzeć się jego początkom. Badacze francuscy wynajdują coraz to nowe dokumenty, dotyczące tragicznej epoki Wielkiej Rewolucji. Skorzystamy z ich opracowań.

...Pewnego pięknego poranku 1776 r. dyliżans z Bordeaux wysadził na bruku paryskim skromnego młodzieńca, prowincjonalistę, zażenowanego zgielkiem wielkiego miasta. Przyjechał uczyć się medycyny. Został potem wziętym lekarzem, znanym w świecie naukowym. Był stódkim, cichym i skromnym. Kiedy ogłoszono edykt królewski, zwołujący Stany Generalne, wysłała pokorną prośbę do króla, aby ilość posłów stanu trzeciego była równa sumie posłów dwóch pierwszych. Wystarczyło to, aby uczonemu oddać pod sąd, z którego wychodzi zresztą obronna ręka. I zostaje sam posłem. Odnacza się paroma drobnymi wnioskami w sprawach higieny, kształtu foteli i t. d.

Byłby przeszedł bez śladu, jak tyłu innych, gdyby nie tragiczny wniosek, przyjęty przez Zgromadzenie Narodowe 10 października 1789 r., który do nazwiska jego przywiązał ponurą nieśmiertelność. Nazywał się dr. Ignacy Guillotin.

Potem usuwa się znowu w cień zapomnienia. Runął Teror, runął Dyrektoryat, na gruzach jego Konsulat zastąpiło Cesarstwo—gilotyna trwała, i jej autor żył, jako skromny lekarz dzielnicy. Zmarł z ostatnim dzieckiem Rewolucji: 14 marca 1814 r., kiedy runęło i Cesarstwo.

Z epigonów epoki mogli pozostać tylko tacy, jak Fouché, który należny mu stryczek przykrył

wielką wstęgą Legii Honorowej. Dla „lekarza-filantropa” nie było miejsca. Ale dzieło—gilotyna—przetwało autora i—trwa. Czy trwać będzie wiecznie?

\* \* \*

...Karaś—mówi bajka Szczedryna—zapytany przez komisję, czy woli być usmażony, czy udużony w śmietanie, odparł nieśmiało, że najchętniej pozostałby w stawie.

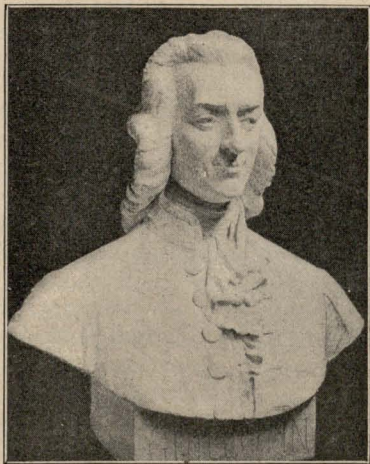
— Wychodzisz z kwestyi—burknął mu niechętnie prezes.

Za czasów „lekarza-filantropa” bajka Szczedryna była nieznaną, chociaż jej sens moralny był zapewne i wówczas prawdziwy. Wistocie: jeżeli człowiek ma umierać, to czyż nie zupełnie wszystko jedno jak?

Innego zdania byli doktrynerzy osiemnastego stulecia. Może dlatego, że patrzyli na tortury, o jakich my dziś nie mamy pojęcia, na takie egzekucje, jak hr. Lolly Tolendal, kiedy miecz katowski kilkakrotnie spadał, aż egzekucya zmieniła się na kilkuminutową rzeź straszliwą. Może...

Dość, że „stódkim, cichym i skromnym lekarzem-filantropem”, dr Guillotin, zajął się wynalezieniem sposobu humanitarnego zadawania śmierci. Wyrazy te dziwnie jest jakoś spleść ze sobą, ale—trudno. Tak było.

Z wysokości długiego, wąskiego obramowania spada ciężki nóż, poruszany sprężyną. Spada na głowę skazańca, unieruchomioną w okrągłej, ściśle do szczytu przystającej lunecie. Ciało skazańca również unieruchomione, przywiązane do deski. Oto cały przyrząd.



Pamięci lekarza-filantropa. Biust, przeznaczony do sali gry w piłkę w Wersalu

Zgromadzenie narodowe wyznaczyło eksperta do badania wniosku, również lekarza, - dra Louis. Korespondencya jego z syndykiem Paryża w sprawie wymiarów, jakie powinien mieć nowy przyrząd, aby działał skutecznie, czyli humanitarnie—jest dziwnie żywa, chciałoby się powiedzieć, wesoła. Zwykły stolarz urzędowy, Guidon, podaje kosztorys kilkutyśięczny zbudowania przyrządu. To zbyt drogo. Znajduje się konkurent, Tobiasz Schmidt, który z niesłychaną szybkością urządza wszystko za 824 franki. 15 kwietnia 1792 r. wszystko gotowe; próba, dokonana na trupach, udana. Instrument jest, ale jak go nazwać? *A tout seigneur tout honneur*—gilotyną. Tragiczna sława dla lekarza-filantropa...

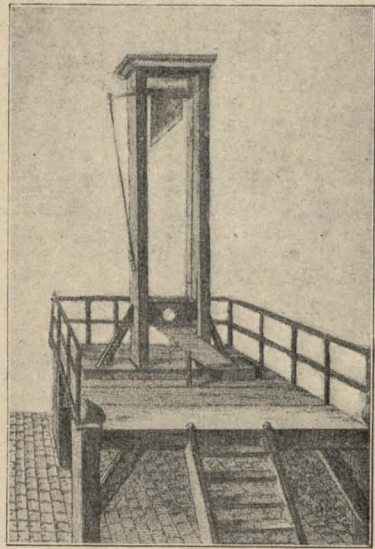
Śpieszą się ludzie, aby dokonać próby *in anima vili*. Niejakiego Pelletier za pobicie i kradzież skazują na karę śmierci. To pierwsza ofiara. Głowa jego spada 25 kwietnia 1792 r. Za nią pójdą tysiące innych. Spadną na placu, jakby przez okrutną ironię dziś placem Zgody zwanym. Gdyby chociaż ta krew przelana istotnie zgodę społeczną okupiła! Gdzie tam... Z posiewu teroru czerwonego wykwitnie w dwadzieścia parę lat potem teror biały Restauracji...

Geniusz Wielkiej Rewolucji wcielił się w prawa człowieka i obywatela i—w gilotynę. Pierwsze—nie wszędzie jeszcze wprowadzone, często gwałcone; druga—symbol śmierci—trwa i daje złu-

dzenie wieczności. Tak przemija to, co jest szlachetnego w usiłowaniu człowieka, a trwa to, co ku zniszczeniu i zagładzie zmierza. Niewesoły wniosek z wynalazku lekarza-filantropa. Tylko—coż on temu winien?

„Niema większej męczarni—mówił w r. 1880 dr Dassay de Lignières na zasadzie swoich doświadczeń z odciętą głową skazanego, Menesclou—jak zadawanie śmierci maszyną p. Guillotina, deputowanego czułego i humanitarnego. Zapamiętajcie, że, kiedy spadł nóż, kiedy głowa stoczyła się na opilkę,—słuchajcie!—ta głowa, odzielona od ciała, słyszy krzyk tłumu. Ścięty czuje, że umiera—w koszu. Widzi gilotynę i jasność dnia”.

Tak—na krańcu blisko stulecia—brzmi wyrok lekarza o dziele lekarza. A głos jego pozostaje głosem wołającego na puszczy...



„Topór prawa czeka na winnego”. Rycina współczesna z epoki teroru.

Gilotyna—to bezduszna maszyna. Ale i ona potrzebuje kierowniczej ręki ludzkiej. Społeczeństwo, które stosuje karę śmierci, potrzebuje kata, chociaż nim gardzi, a czasem apoteozuje (Józef de Maistre, godny epigon Rewolucji *à rebours*, paradoksalny entuzjasta teroru białego).

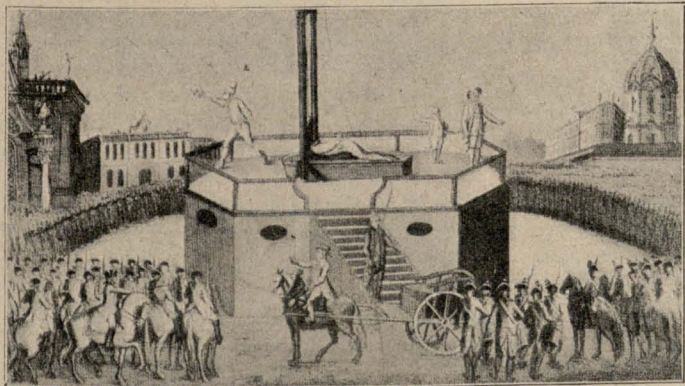
Nie dość na tem. Skomplikowane narzędzie sprawiedliwości ludzkiej potrzebuje jeszcze dostawców dla kata i maszyny. Najwięcej ofiar wiekopomnemu dziełu lekarza-filantropa dostarczył trubunał rewolucyjny. On też we wspomnieniach z końca osiemnastego wieku najpocześniejsze miejsce zajmuje.

W odległej filiacji wieków jemu należy się wątpliwa sława oswojenia ludu francuskiego z widokiem egzekucji. Na niego spada odpowiedzialność za te okrzyki, które w zaraniu dwudziestego stulecia rozlegały się niedawno w Béthune: „niech żyje gilotyna! niech żyje kat!”...

Lekarz-filantrop—najmniej winny—tryumfuje... Chociaż—czy najmniej winny? Bez jego wynalazku niemożliwymi byłyby egzekucje Terroru, traceniu kilkudziesięciu ludzi dziennie. I tak kat skarżył się w podaniach do władzy, że jest przepracowany...



Współczesna egzekucja. Ścięcie Augusta Polleta. W głębi po prawej stronie „mistrz wyroków głównych”, Deibler.



Jak sobie Niemcy wyobrażali gilotynę. Kompozycya współczesna, przedstawiająca ścięcie generała Filipa Custines'a.



## HOLD UCZONEMU.

Z końcem letniego semestru r. z. ustąpił z katedry historii polskiej na uniwersytecie lwowskim jeden z najznakomitszych historyografów i badaczy naszych dziejów, prof. Tadeusz Wojciechowski. W uznaniu niepożytych zasług, jakie sędziwy profesor i uczyony położył na polu polskiej nauki



Prof. Tadeusz Wojciechowski.

historycznej, uniwersytet lwowski wybił na jego cześć medal pamiątkowy. Uroczystość wręczenia tego medalu odbyła się 9-go b. m. we Lwowie.

Prof. Tadeusz Wojciechowski, ur. w r. 1838, odbywszy studia naukowe w Wiedniu, osiadł na stałe we Lwowie, gdzie, jako urzędnik przy bibliotece tamtejszego uniwersytetu, poświęcił się swym ukochanym badaniom nad zarysem naszych dziejów.

Rezultaty tych badań zrobiły mu tak rozgłosną a uzasadnioną sławę, że, kiedy w r. 1883 po wielu staraniach kreowano na uniwersytecie lwowskim katedrę historii, opinia kół powołanych wskazała jednogłośnie dra Wojciechowskiego, jako jedyne godnego do zajęcia tego posterunku.

Za przedmiot badań swych obrał prof. Wojciechowski czasy przedhistoryczne i dobę piastowską. Tu potężny umysł tego wielkiego uczonego, odznaczający się zarówno ogromną zdolnością do głębokiej analizy, jako też wielką łatwością konstrukcyjną, znajdował najwdzięczniejsze dla siebie pole do niezmordowanej pracy. Dzieła Wojciechowskiego, poświęcone rozświetleniom zmiernych, osłaniającego przed nami te czasy, zjednały mu też rozgłos wielki i utworowały drogę do świadomości szerokich kół inteligencji polskiej, mimo że tematy nie były bynajmniej fascynujące, mimo że wielki uczyony nie eksploatował już istniejącego zainteresowania ogółu dla umiłowanej przez siebie epoki, ale je budził dopiero i ugruntowywał.

Klasyczne dzieło Wojciechowskiego, „Chrobacya czyli rozbiór starożytności słowiańskich”, stanowić będzie zawsze podstawę badań nad historią osadnictwa polskiego. Takie zaś dzieła, jak „Katedra na Wawelu” i „Szkice historyczne”, pozostaną na zawsze w naszej literaturze historycznej, jako trudne do naśladowania wzory ogromnej śmiałości, ścisłości i jasności myśli badawczej.

Nagrodzony dwukrotnie przez Akademię Umiejętności nagrodą Barszczewskiego i obsypany wszystkimi zaszczytami, jakie dla pracującego w ojczyźnie polskiego uczonego są wogóle dostępne, prof. Wojciechowski opuścił katedrę, ale nie porzucił jeszcze swych badań, tak bardzo owocnych.



Plakieta, ofiarowana prof. T. Wojciechowskiemu w dniu 9 b. m. przez grono profesorów uniwersytetu lwowskiego.

Przeciwnie, lwia krzepkość, którą ten znakomity starzec zachował jeszcze mimo siedmiu lat dziesiątek, ciężko przepracowanych, pozwala żywić nadzieję, że czcigodny uczyony długo jeszcze będzie pracował ku chwale i pożytkowi nauki polskiej. Oby nadzieja ta ziściła się w jak najszerszym zakresie!

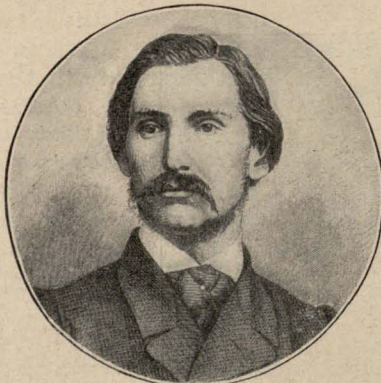
## WŁADYSŁAW NEHRING.

Zeszedł w grób jeszcze jeden z dawnego pokolenia badaczy dziejów naszego piśmiennictwa, którzy swymi pracami dali podwalinę nauce dzisiejszej, pokazali drogę następcom.

Dnia 20 b. m. zmarł we Wrocławiu, 78-letnim starcem, ś. p. Władysław Nehring, profesor sławistyki w uniwersytecie tamtejszym, były rektor, dwukrotnie dziekan wydziału filozoficznego, sył pracy i zasług, jakie w ciągu półwiecza z górą na polu pracy wychowawczej i dla nauki polskiej położył.

Literatury ojczystej szczerzy miłośnik, wniósł do jej badań prawidła i środki nauki niemieckiej. Jest on—zdaniem Chmielowskiego—współ z W. Cybulskim i A. Małeckim, twórcą krytyki naukowej, która w dziedzinie studyów historyczno-literackich tak piękne już wydała owoce.

Właściwym polem jego badań było—średniowiecze, oraz wiek XVI. I najznakomitsze jego



Prof. Władysław Nehring.

dzieła dotyczą właśnie pierwocin naszej literatury. Rozpoznanie krytyczne najstarszych zabytków polskiej literatury (niezapomniana praca p. t. „Altpolnische Sprachdenkmäler”), historyczna gramatyka języka polskiego po niemiecku, klasyczne wydanie części polskiej „Psałterza Floryańskiego”, rozprawa o „Kazaniach gnieźnieńskich”, przenikliwe studium o „Bogarodnicy”, historyczno-porównawcze rozważanie powieści kronikarskiej o Walterze i Helgundzie, t. zw. powieści o „Walgierzu Udałym”—oto liczne i poważne dowody rozmiłowania się w studyach z dziedziny średniowiecza.

Metody, zdobyte i wyćwiczone w tych badaniach, zastosował Nehring i do epok i zjawisk późniejszych; z pomiędzy studyów jego z tego zakresu wyróżnia się monografia o Kochanowskim, a zwłaszcza znakomite, do dziś dnia, pomimo późniejszych prac, nie pozbawione wartości studium o „Psyche” Andrzeja Morsztyna.

Z pomiędzy prac, dotyczących wielkiej naszej poezji romantycznej, wyróżniają się dwa rozbiory: „Nieboskiej komedyi” i „Irydiona”.

Umysł trzeźwy, logiczny, ale nie suchy, krytyczność baczna, czujna, ale nie sceptyczna, opanowanie przedmiotu rozległe, ale nie gubiące się w drobiazgach i szczegółach, w antykwarskich ciekawostkach, oto cechy, charakteryzujące Nehringa, jako pisarza i jako profesora.

I te same zasady wpały w uczniów swoich, wśród których wielu było Polaków, nie tylko z Poznańskiego, ale i z innych zaborów. Ci wszyscy—a między nimi niejeden zajął już wybitne w dziejach umysłowości polskiej stanowisko—podzielili sercem żalobę, jaka okryła uczelnię wrocławską, na ziemiach odwiecznie polskich położoną, dziś niestety! w rękach niemieckich.

S. p. Nehringowi towarzyszy do mogiły szczerzy żal i szczerą wdzięczność tych wszystkich, którzy z nauk jego niegdyś korzystali, ćwicząc się pod jego starownem okiem w badaniu naukowym zabytków piśmiennictwa ojczystego.

## DRAŻLIWA KWESTYA.

Bogactwo naszej literatury współczesnej jest dwojakie—to, które znają i cenią wszyscy, i to, o którym wiedzą tylko wybrani.

Kiedyś, w przyszłości, historycy naszego piśmiennictwa będą mieli niemały kłopot z rozklasyfikowaniem puścizny, jaka pozostanie po rozmaitych autorach nie drukowanych powieści, nowel, poematów dramatycznych, pamiętników i rozpraw naukowych, jeżeli autorom tym przyjdzie np. fantazyja opieczętować swoje rękopisy i złożyć je w bibliotekach z zastrzeżeniem: „do otwarcenia w 30, 40, 50 lat po śmierci”.

Dzisiaj kłopot ten mają tylko kierownicy działów literackich w pismach i t. zw. literaci zawodowi, posiadający już pewien rozgłos i pewną markę. Bywa bowiem tak.

W przedpokoju zabrzączy dzwonek. Po chwili służąca podaje kartę wizytową nieznanego pana lub pani z wyjaśnieniem, że to gość w „interesie osobistym”.

Wchodzi. Powierzchność rozmaita, ale życzenie zawsze to samo.

— Napiisałem powieść (nowelę lub dramat). Czy nie raczyłby pan?...

— Redakcja nasza posiada zapas...

— Ależ nie o to idzie. Mogę czekać. Zresztą, choćby nawet do druku nie doszło, chciałbym usłyszeć światłą opinię szanownego pana, wiedzieć, czy warto pracować dalej...

Należałoby od razu powiedzieć takiemu panu lub pani, że nie warto, że prawdziwy talent sam zna swoją miarę i cenę, ale uprzejmość obowiązuje, więc następuje tylko wymiana zdań mniej kategoriycznych, zakończona z jednej strony propozycją udania się do kogoś innego, z drugiej—zapewnieniem o specjalnem zaufaniu do talentu, bezstronności i t. d.

Kto zdobył już rutynę w kierunku załatwiania takich gości, przybywających „w interesie osobistym”, ten potrafi uszczęśliwić ich wizytę kolegę lub przyjaciela, gdzie nie omieszkają zjawić się z oświadczeniem, że zostali skierowani z poleceniem specjalnem. Kto jednak tej rutyny nie posiada, ulega, przyjmując rękopis i... czyta, aby się przekonać, że w 99 wypadkach na 100 ma do czynienia z zupełną lichotą.

Takich rękopisów gromadzi się na biurku każdego literata po kilkanaście.

Po upływie 2—3 tygodni autor zjawia się ponownie i przychodzi już w charakterze dobrego znajomego na dłuższą poufną rozmowę. Jak z szybkostrzelnej armaty, padają wówczas pytania: a jak? dlaczego? przecież pomysł jest świetny, rzecz zupełnie nowa... Trzeba tłumaczyć, dowodzić, sprzeczać się.

W ten sposób literaci warszawscy napastowani są nieustannie i tracą masę czasu na nieprodukcyjną pracę, odczytując po nocach cudze rękopisy. Pamięta o nich i prowincya, nadsyłając listy i rękopisy swoje w starannie opakowanych paczkach pocztą lub przez okazy.

To jest nasza klientela. Jak się przeciw niej bronić?

Ktoś porównał ją niedawno z klientelą lekarzy i adwokatów, którzy cenią swój czas i biorą honorarium za poinformowanie o tem, czy choroba jest ciężka, czy przemijająca, czy sprawa jest zła, czy dobra, czy warto ją prowadzić, czy lepiej zaniechać.

Z porównania tego wyłonił się projekt stworzenia specjalnej instytucji dla amatorów pióra, dajmy na to, *biura czytania rękopisów*, zorganizowanego, jako przedsiębiorstwo, pobierające opłatę i wynagradzające pracę, nadto udzielające informacji redaktorom i wydawcom.

Kto wie, czy na tej drodze nie leży istotnie rozwiązanie tej nieprzyjemnej, drażliwej i przykrej kwestyi.

Z. D.



## WYBITA SZYBA.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Wybita szyba... W mieście to furda! bajki! Posyła się po szklarza... I w kwadrans, w pół godziny po krzyku!

Ale na wsi?

Na wsi wybicie szyby to, jakby powiedziała pani Dulka, katastrofa! Prawdziwa katastrofa!

Kto tego nie przeżywał, ten nigdy nie pojmie: dlaczego wszystkie dzienniki, liczące na prenumeratę wiejską, mają format duży...

Bo... wyobraźcie sobie...

Pani Janowa w Wólce ma zamiar urządzić w karnawale „tańcujące” pączki. Oznaczono dzień... Zaproszenia rozesłane.

Nareszcie nadeszła chwila uroczysta. Od samego rana ruch i rwetes!

Posłańcy jeden za drugim latają po sprawunki do położonego o dwie mile miasteczka. Ten po cukier, ten po drożdże, inny po cytryny i t. d.

Wreszcie po licznych zachodach

dwór na przyjęcie zaprowiantowany. Czas wziąć się do „pączków”, aby się dobrze „wyruszały”.

Sama pani dozoruje. Pozamykano drzwi szczelnie, aby ciasta nie „zaziębić”...

Nagle! katastrofa!

„Śpiewka”, faworytalna wyłica pana Jana, usłyszawszy szczekanie jakiegoś brysia, który właśnie z za płota staczał utarczkę z wypuszczonym na okólnik dla ruchu żrebakiem, nie mogąc znaleźć ujęcia dla swej energii (wszystkie drzwi zamknięte), buch w okno!... Szyba prysk!

A na dworze wicher śnieżny miecie!

Katastrofa! Ciasto „opada”, zakalec, jak zapisał... Gwałt! załamywanie rąk! Co tu robić? Szklarza na okolicę niema... Czasem trafi się przechodzący „Słowak”...

Jest wprawdzie „Judka” w miasteczku, ale choćby po niego postać, nie przyjdzie... Sobota... Sabat... Wprawdzie stara Agata, gospodyni, niby „pogotowie ratunkowe”, pośpieszyła z pomocą i, po-

Ale nie miałem bynajmniej zamiaru pisania humoreski. Pragnę w tej sprawie pomówić poważnie, rzucić myśl utworzenia kursów „szklarstwa”, tak jak są ogrodnictwa, lub pszczelnictwa. Nauka łatwa, warsztat tani, a pewność zarobkownia wyjątkowa.

W 20,000 naszych wiosek jest przynajmniej jakie pół miliona domów mieszkalnych, posiadających bądź co bądź okna, a w oknach szyby.

Jakaś czwarta część tych szyb i szybek tłucze się rocznie z różnych powodów i przyczyn.

A tymczasem szklarzy prawie że niema. Rzemiosłem tem trudni się wprawdzie paruset „przychodnich Słowaków” i jakiś Zydek z miasteczka, ale to nie wystarcza.

A jednak zarobek to nie do pogardzenia!

Kilkuset „swoich” ludzi mogłoby mieć z tego źródła dochód dodatkowy, i to w porze zimowej, kiedy właśnie o pracę na wsi trudniej.

Już ś. p. Promyk poruszał tę sprawę kilkakrotnie. Ponawiam myśl niezapomnianego działacza na szpaltach *Tygodnika Ilustrowanego*, w nadziei, że może panie Janowe, którym się wypadek z pączkami bardzo łatwo w karnawale przytrafić może, zechcą rzucony projekt u trzymających faworytalne „Śpiewki” małżonków poprzeć.

Stracą może na tem co nieco na pokupności „duże” dzienniki, ale zyska zdrowie, porządek, kuchnia i... lud polski.

K. LASKOWSKI.

## LEOPOLD WASILKOWSKI.

W numerze niniejszym podajemy szereg rzeźb Leopolda Wasilkowskiego. Nie dają one pojęcia o całokształcie dorobku artysty, który w dziedzinie sztuki tej zajął miejsce wybitne, charakteryzują jednak pewne znamienne strony jego dążeń estetycznych.

Wasilkowski jest przede wszystkim dekoratorem, i najważniejszym polem jego działalności byłaby niewątpliwie rzeźba monumentalna. Świadczą o tem wymownie lwy, zdobiące fronton panoramy na ulicy Karowej, posąg pracy i kilka nagrobków na cmentarzach i wiele innych prac w tym zakresie. Są to wszystko rzeczy, wykonane z ogromnym poczuciem wielkiego stylu i z istotną świadomością swoich przeznaczeń—z tą dojrzałą wiedzą zawodową, znamionującą wysoką kulturę estetyczną. Niestety, zapotrzebowania na dzieła monumentalne wyższej miary są u nas nader rzadkie, i artysta, pracujący w tym kierunku, zdolności

swoich nie może rozwinąć w całej pełni. Jeżeli rzeźbiarz nie chce ograniczyć się wyłącznie do modelowania biustów portretowych, z konieczności musi stanąć ramię przy ramieniu ze zwykłym kamieniarzem i ciosać najbanalniejsze nadgroby. Niemniej przecież zdarza się czasami i w tym zakresie sposobność wystąpienia z pomysłem oryginalnym, z kompozycją szczerze indywidualną, nie skrępowaną warunkami ceny wykonania i powszedniością smaku fundatorów.

Właśnie w obecnym salonie, na owej piątej wystawie dorocznej, podziwialiśmy prześlizny posąg Anioła pokoju—ostatnie dzieło rzeźbiarskie Leopolda Wasilkowskiego. Ten „Pax” jego, traktowany w wielkich, poważnych liniach, wysmukły i lotny, ze skrzydłami wysoko wzniesionymi, wiąże się niewątpliwie nader harmonijnie z liniami poważnej architektury kościelnej. Jest to jedno z najtrudniejszych zadań rzeźby dekoracyjnej, i Wasilkowski z trudności tych wyszedł zwycięsko. Poza tem wyraz twarzy anioła, ruch wzbijania się nad ziemię, ornament na szatach, wybrany ze smakiem i znajomością stylu, wreszcie samych tych szat sfaldowanie dowodzą, jak dalece artysta jest panem swojej sztuki. Jest to niewątpliwie dzieło pierwszorzędnej wartości w tym zakresie, i już reprodukcja daje dość dokładne pojęcie o powadze koncepcji.

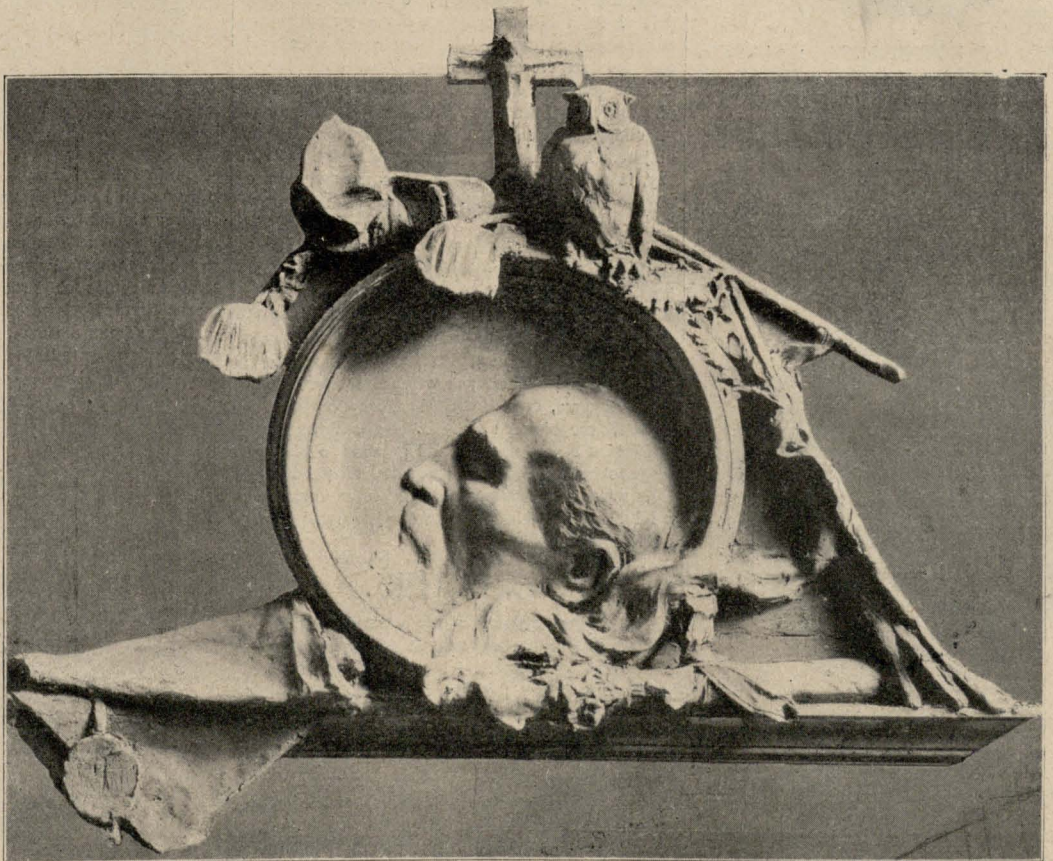
Jakkolwiek hieratyczna z konieczności postać „Naszej patronki” nie dała artyście pola do rozwinięcia ciekawszego kształtu w bryle ogólnej, natomiast oryginalna pomysłowość dekoratora zaznacza się znamienne w rysunku ornamentu, zdobiącego dalmatykę. Ułożony on jest z polskich zbóż, kwiatów i polskich godeł herbowych. Poza tem głowę, o nawskroś polskiem obliczu, wieńczy prawdziwa korona piastowska.

Dla ścisłości etnograficznej, na szyi „Patronki naszej” artysta zawiesił nie korale lub inne paciorki, lecz właśnie tak bardzo rodzime bursztyny.

Potężna głowa „Assyrii” z potężniejszemi jeszcze pięściami, jako symbol, przemawia za siebie. Jako kompozycja dekoracyjna, zwraca uwagę piękną, śmiałą linią, wprost narzucającą się do zastosowania w jakiejś konstrukcji architektonicznej. Artysta szuka często w rzeźbie swej wyrazu ironicznego. Doskonałym przykładem takiej wymowy plastycznej jest kompozycja „Poeta i rzeźwistość”.

„Praca” i „Tablica pamiątkowa” to doskonałe, dojrzałe prace rzeźbiarskie, które zamieszczamy tu, jako dopełnienie do obrazu całości twórczej utalentowanego wszechstronnie artysty.

T. J.

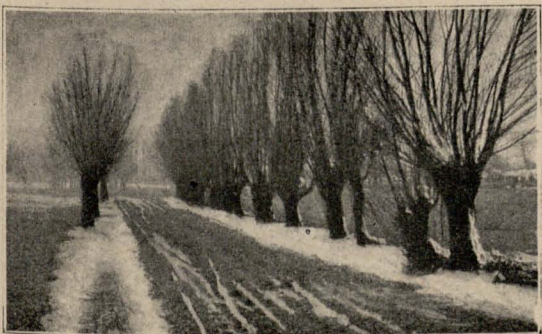


TABLICA PAMIĄTKOWA

LEOPOLD WASILKOWSKI



Szklarz wiejski.



Styczeń—droga wiejska.

rwawszy poduszkę, zatkała uczyniony przez „Śpiewkę” wylot. Ale i tak wieje...

Oczywiście, niema innej rady, jak, wzięwszy poczciwe *Słowo*, *Dzień* lub *Polską*, jako największe, zalepić...

— Wypadek—powiecie.

Zapewne: wypadek!

Ale takim wypadkom imię—milion! To jakaś „Śpiewka”, to dziecko wybije szybę, to wreszcie sama się stłucze...



## „Quo Vadis” w operze.

W d. 5 lutego w teatrze miejskim w Nicei dane będzie interesujące dzieło liryczne: „Quo Vadis” Sienkiewicza w dozwolonej przez autora przeróbce scenicznej, dokonanej przez zasłużonego piśmiennictwu naszemu Bronisława Kozakiewicza i znanego dramaturga Henryka Cain'a z muzyką Jana Nougues'a.

Dzieło, przerobione na 5 aktów i 6 obrazów, utrzymane jest wiernie w rysach oryginału. I autorowie libretta, i kompozytor usiłują dać mu wyraz tej głębi wiary, cierpienia, miłości, a zarazem obraz gnuśności, rozpusty, przesładowania i zbrodni, jaka cechuje arcydzieło naszego poety-kolorysty.

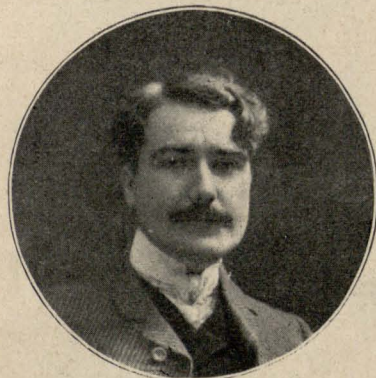
Obraz pierwszy przedstawia atrium Petroniusza, drugi—pożar Rzymu, trzeci—Transtwer, czwarty—Koliseum, piąty—Pollice Verro, szósty—wilę Petroniusza. Obraz piąty w dekoracji scenicznej jest kopią znanego obrazu Gerome'a; inne dekoracje są komponowane przez tak znanych artystów, jak: Bosio (specjalista pompejański) i Paquetot.

Opera nicejska pod dyrekcją p. Villefranc'a pracuje od dwóch miesięcy nad starannem przygotowaniem dzieła; partyę Viniciusza śpiewa tenor Opery paryskiej, Muratore, Petroniusza baryton Danges, Chilona bas Seveillac, S-go Piotra bas Rother. Lygią będzie primadonna Opery komicznej paryskiej, pani Karolina Wyna.

Podajemy wizerunki autorów tej nowalijki lirycznej.



BRONISŁAW KOZAKIEWICZ, urodzony w Płocku, od 3 roku życia mieszka w Paryżu. Po studiach uniwersyteckich objął sekretaryat hr. Chambruna, autora cennych dzieł o Wagnerze, Chopinie i Schumanie, wielbicieli i znawcy literatury polskiej. Kozakiewicz przyswoił piśmiennictwu francuskiemu wszystkie prawie dzieła Sienkiewicza, pisał studia o epoce romantyzmu w Polsce i, jako współautor dzieł scenicznych francuskich, przeważnie historycznych, posiada wybitne stanowisko w Paryżu.



JAN NOUGUES liczy dopiero 23 rok życia, urodzony w Saint Jean de Luz, w ziemi Basków. Jego muzyka celuje melodyjnością; wieje z niej temperament południa, gorący, namiętny, silny, jaskrawy. Nougues napisał „Chiquito”, sceny z życia Basków, według Piotra Loti'ego, „La Mort de Tintagiles”, według Maeterlincka i „Thamarysis”, dramat muzyczny do słów Jana Sardou (syna), a. r.

## PORTRETY NA DOBIE.



Dr Władysław Brunner, zasłużony lekarz, naczelny lekarz służby zdrowia Magistratu warszawskiego, w 25-letni jubileusz pracy zawodowej.



Józefa Gagatnicka, przelożona pensji żeńskiej, zasłużona wychowawczyni młodzieży żeńskiej, w 25-lecie niestrudzonej działalności pedagogicznej.

## Pokłosie piśmiennicze.

Antonina Sadowska: „Basia”. Dziwna to powieść. Takie zwykłe, takie szare, takie pospolite opisuje sprawy, a jednak czyta się ją z przejęciem, z zaciekawieniem, ze współczuciem głębokiem dla bohaterki i z wrażliwem bezdenne smutku, przytłaczającego serce, jak głąz mogilny. W czemże jest tajemnica tego wpływu, w czem tkwi siła, działająca nieodparcie na uczucia czytelnika? W bezwzględnej szczerości utalentowanej autorki, w prawdzie, więcej w każdej karcie książki, w uroczym, melancholijno przepojonym czarze miłości, owiewającej ciepłem techniem sympatyczne postaci, sceny dzieciństwa, jakby dalekie wspomnienia własne, budzące się uczucia dziecka, dziewczątka, dorastającej i dorosłej panny. Ta szczerość, ta prawda, ów smutek, owa szlachetność subtelnej wrażliwej duszy nadają powieści pani Sadowskiej ton dziwnie sympatyczny. Dlatego sądzę, że autorka pisać powinna więcej. Ma talent niewątpliwy, ma czujną, delikatną duszę. W utworze jej czytelnik nie znajdzie efektów nadzwyczajnych iscen wyszukanych, obliczonych na oszołomienie chciwego wiecznych nowości współczesnika, natomiast odnajdzie w książce obrazy swych lat dziecięcych, swych pierwszych wrażeń i marzeń, swych górnych uczuć — i odżyje na moment dawnem, czystschem, pełniejszym życiem. A to, com powiedział, świadczy, iż powieść pani Sadowskiej przeczytać warto, bo jest w niej rzecz najwyższa na ziemi: prawdziwa poezja.

Justyn Feliks Gajsler: „Stosunek podania Gallusowego o Piaście do legendy o św. Germanie”, Warszawa, 1908. Jeszcze jedna hipoteza o pochodzeniu podania o Piaście. P. Gajsler wywodzi je od legendy o św. Germanie, biskupie Auxerre (378 + 448 roku), wedle żywotów, spisanych przez Heryka, scholastyka w kościele św. Germana w Auxerre, oraz Jakóba de Voragine, dominikanina, arcybiskupa genueńskiego. A że źródło podania o Popielu tkwi w legendzie o biskupie moguncskim Hattonie (o czem wiedział już Krasiczki), wynikałoby stąd, że oba te opowiadania z folklorem polskim, a tem więcej z historią, niewiele mają wspólnego.

## ZE SZTUKI.

Smutnym objawem naszego wandalizmu artystycznego jest sprawa odnawiania kościołów na prowincji, a nawet nie tylko na prowincji, którego podejmują się częstokroć malarze ścienni, niszcząc barbarzyńską dłońmią pamiętki naszej artystycznej przeszłości. Z prawdziwą też przyjemnością podkreślamy dodatni niezmiernie objaw, iż dozor kościoła farnego w Koninie powierzył odnowę świątyni takiemu wybitnemu artyście i znawcy sztuki, jakim jest p. Eligiusz Niewiadomski. Kościół przyozdobiony będzie piękną polichromią. Oby przykład ten znalazł jak najwięcej naśladowców!

## Z pod pióra.

WACŁAW SIEROSZEWSKI.

W stylowym dworcu zakopiańskim na Krupówkach przyjmuję mię z koleżeńską serdecznością znakomity autor „Na kresach lasów”.

Choć oddalony od zakątka rodzinnego, żywo interesuje się wszystkim, co dzieje się w Królestwie, pyta o życie umysłowe, kulturalne i polityczne Warszawy.

— Co piszę w tej chwili? Powróciłem do przedmiotów egzotycznych. Posiadam mnóstwo nie spożytkowanych jeszcze notatek z podróży po Wschodzie azjatyckim. Teraz mam zamiar je zużyć. Pracuję nad cyklem nowel japońskich, z których najbliższą przeznaczam dla *Sfinks*.

— Tytuł?

— Tytuł znajdzie się później, na samym końcu, jako uwieńczenie dzieła—odpowiada z uśmiechem—będzie to w każdym razie tytuł egzotyczny. Za tą pierwszą nowelą pójdą inne, a wszystkie z krainy chryzantemów.

Przedłożywszy autorowi „12 lat w kraju Jakutów”, by w pracach swych przyszłych nie zapomniał o *Tygodniku Ilustrowanym* i jego czytelnikach, zapytuję, czy nie zamierza pisać jakiej powieści współczesnej.

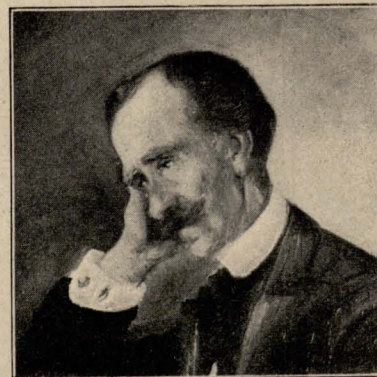
— O nie!—zachnął się niecierpliwie—w dzisiejszych warunkach politycznych niepodobna mówić otwarcie o tem, co najwięcej boli. A przyznam się panu, że nie potrafię już naginać się i kurczyć, i wiwisekcję czynić na własnych myślach. Wolę o tem wszystkim zapomnieć—i dlatego piszę o Japonii, odrywam się myślą od smutnych obrazów dnia dzisiejszego...

Zamyślił się obaj, patrząc przez okno na rozciągający się obraz spowitej w śnieżny całun doliny zakopiańskiej i śnieżnych Tatr, połyskliwych w świetle mroźnego grudniowego poranka.

— Mróz dziś nielada!—rzecze—to nic! na Jakutach były gorsze, i zniósł się. GAMMA.

## ZMARLI.

FLORYAN ŁAGOWSKI. Jeszcze jeden z wychowawców Szkoły Głównej, jeszcze jeden z dawnego pokolenia pedagogów, ułożył się do snu wiecznego. W dniu 19 b. m. zmarł s. p. Floryan Łagowski, długoletni kierownik zakładu naukowego w Warszawie, serdeczny przyjaciel młodzieży, której służył swą wiedzą i talentem pedagogicznym do ostatnich chwil życia. Człowiek cichego serca, nieposzlakowanej prawości charakteru, najskromniejszego o sobie mniemania, pozostawia



po sobie żal serdeczny w sercach tych wszystkich, którzy znali i czcili jego prawość i najgorliwsze oddanie się umiłowanej pracy wychowawczej. Pozostawia rzewne wspomnienie w duszach młodych swych wychowawców, pozostawia wreszcie więzankę niegłośnych prac gramatycznych i historyczno-literackich, wśród których rzecz o Konarskim i studium o znakach pisarskich są niewątpliwie w swoim rodzaju klasyczne.

GUSTAW GEBETHNER, najstarszy z synów s. p. Gustawa, jednego z założycieli firmy Gebethner i Wolff, i długoletni kierownik jej oddzia-



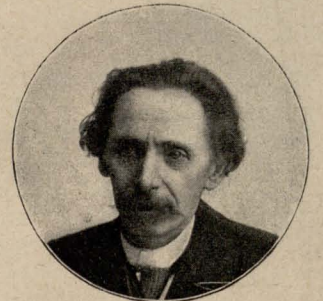
łu muzycznego, wychowaniec wydziału inż.-mech. politech. ryskiej, muzyk z zamiłowania, jeden z

twórców i gorliwych pracowników „Lutni” warszawskiej, a także założyciel i dyrektor „Lutni” łódzkiej, zmarł dnia 20 b. m. w Pruszkowie. Zgon s. p. Gustawa budzi żal serdeczny w szerokich kołach towarzyskich, wśród których zmarły cieszył się sympatją za wysokie zalety serca i charakteru.

JÓZEF ŁOZIN-

SKI. Sprawozdawca i krytyk teatralny *Przeglądu Porannego*, zmarł w Warszawie w wieku lat 43, w pełni sił i zdolności do pracy. Zmarły był wnukiem J. I. Kraszewskiego, którego córka dzieliła losy męża, skazanego za wypadki 1863 r. do kopalni w Ussolsku. Tam też przyszedł na świat s. p. Józef; po ukończeniu nauk zabrał się odrazu do pracy literackiej, w której wytrwał z powodzeniem ściśle aż do ostatniego tchnienia.

JÓZEF PAWŁOWSKI. Niepowodzenia i zawiady materialne znowu podkopały zdrowie jednemu z naszych artystów, który, podpadając coraz bardziej na siłach, zmarł niedawno w 54 roku życia. Był nim s. p. Józef Pawłowski, malarz



wielu obrazów treści religijnej, oraz założyciel i właściciel „Salonu artystycznego” w Warszawie. Kierowany jak najszczerzejszymi chęćmi, zmarły chciał wytworzyć w naszym mieście miejsce zbytu dzieł nie tylko z zakresu malarstwa i rzeźby, ale także i wyrobów z dziedziny sztuki stosowanej i przemysłowej.

## NEKROLOGIA.

Ś. P. JULIUSZ KORAB' BRZOZOWSKI, syn Franciszka, pełnomocnika dóbr Berszadzkich, i małżonki jego, Lucyny z Dwernickich, synowicy generała, urodzony 12 lipca 1828 roku, zmarł w dziedzicznej Posuchówce, powiatu humańskiego, gubernii kijowskiej, 5 stycznia r. b. Po ukończeniu z odznaczeniem gimnazjum w Kijowie i wydziału kameralnego Liceum Richelieu'go w Odessie, zmarły spędził parę lat na służbie rządowej przy zarządzie gubernialnym w Kijowie, a następnie służył społeczeństwu, dwa razy wybierany przez szlachtę na deputata do Izby kryminalnej, a następnie na komisarza do spraw wło-



ściańskich powiatu humańskiego, przy uwłaszczeniu włościan. Po 1863 roku musiał ustąpić i z zapalem poświęcił się gospodarstwu, które prowadził aż do ostatnich czasów, przed paru dopiero laty oddając majątek synom. Pomimo wielu przywar, był znanym i lubianym w szerokich kołach ukraińskich, jako człowiek nieposzlakowanej uczciwości i jako rzadki, w dzisiejszych czasach, dodatni typ szlachcica kresowego z czasów absolutnych! Chłopi lubili i szanowali go powszechnie i złożyli cześć pamięci zmarłego, całą gromadą wraz z sołtysem odprowadzając go na miejsce wiecznego spoczynku. Niech ziemia lekką mu będzie!

S.



A. NOWACZYŃSKI:

## NOWY NOWELISTA.

„Stabe serca” opisał mocny talent, opisał co więcej amator i lubownik życia potocznego, któremu to życie nie wydaje się bezdenną otchłanią, ziejącą fałszami i kłamstwem, rozpaczliwymi dezilluzjami i monotonią nonsensów, ale raczej jakąś zieloną, lekko z za chmur przegładającym słońcem oświetloną łąką, pełną maleńkich, litosnej miłości godnych, wielokształtnych żyjątek, pełzających pod bujną trawą za awanturami miłośnikami, to szukających skromnego żeru, a tylko w głodzie czasem i wzajem się pożerających.

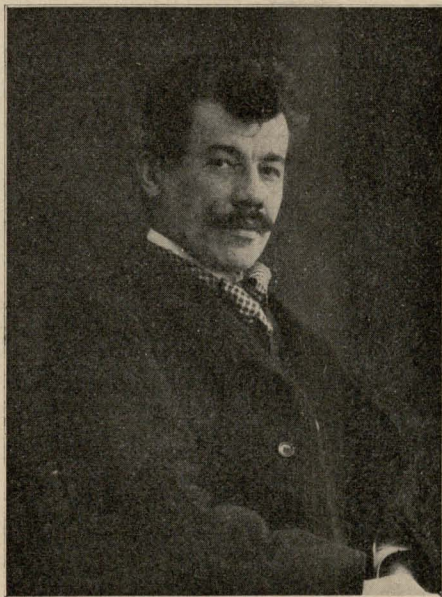
Przeciwno pisarzowi o takiej dla życia pobłażliwości trzeba nam iść z szeroko rozwartymi rękoma, powiewając serdecznie zdjętymi z głowy kapeluszami.

Czytając dziś jeszcze *pana*, a jutro już może tylko Zygmunta Bartkiewicza marginalia do rozwartej książki terażniejszości, staje się człowiek lepszym, spokojniejszym, łagodniejszym, wybaczącym. Dziwny to egzemplarz twórcy o koźlich nóżkach Satyrów, a gołębiej łagodności Serafów staje na scenie literatury; odkłada na bok pędzle i paletę i gawędowem, niby nierozmyślnym słowem, pykając z Sabalowej fajeczki, opowiada swobodnie, szeroko, wygodnie, to ze staroświecka po rubasznemu, to pieprznie po nowoczesnemu przypadki, przygody i afery z tysiąca i jednej nieprzespanych nocy. Ma ten nowy adept nowelowej sztuki czasem kompletny ton zmanierowanego właściciela trzeciorzędnej menażery, prezentującego swoje oswojone bydelko w klatkach na Targowisku Próżności. W niektórych drobiazgach jest p. Bartkiewicz zręcznym pocziwie magistrem botaniki, wyciągającym ze swego herbarium coraz to inne, zasychające zwolna roślinki. Zawsze jednakże, w każdej jego żartobliwej opowiadance ujmująca i wstępnym przebojem zniewalająca łagodność osądu, delikatne ujęcie anegdoty, miłe lubowanie się w obranym terenie i jakaś już ściśle poetyczna nostalgia szerokich przestrzeni, wysokich horyzontów, mocnego życia i jasnych ustosunkowań uczuciowych zdradzają przed nami niedyskretnie, że mamy do czynienia z swojskiej rasy przednim typem gatunku: poeta. Są w tej pierwszej wiązance marcowego już dziś kawalera Bartkiewicza i przelotne tylko rzuty tragicznego losu na ekran drobroustrojowych środowisk, ale są i gwałtownie z korzeniami złego wyrwane życie nikczemności walki o byt.

Czasem się on śmieje z *panmoufizmu* aryostycznie, ale czasem niespodzianie, zagryzłszy wargi, tnie szpicrutą w sam kark panoszącej się zbyt trywialności, chwytając ją za gardło muskularnymi palcami i, jak to mówią, „kuje w mordę...” subtelnie... ale bez opamiętania.

Niezrównanym i niedoścignionym jest p. Bartkiewicz w jednym kunszcie, który już tak zresztą wysoko postawił mistrz Reymont, tj. w zgoła wyczerpującym, całkiem kompletnym oddawaniu „atmosfery lokalnej” z jej specyficznym składem powietrza, światła załamania, zapachem, barw rozpyleniem. Wędrujemy z nim ze wsi do wsi, z lasu do Paryża, z „jadalni” dworku szlacheckiego w kantor łódzkiego raubryttera przemysłowca, z atelier na szóstym pięterku Montmartru na groteskowy dworzec jakiejś bocznej linii kolejowej w miechowskim

skiem, nie omijamy przytem i zamtuza... w dzień wigilijny, a wszędzie siłą bajecznie ewokującego impresjonistycznego szkicowania jego pióra jesteśmy i duszą, i *ciałem* jakby obecni, widzimy wszystko z nim, słyszymy wszystko z nim, ba, nawet czasem w nosie zakręcą nam dokuczliwie zapaszki brudnawych nadwiślańskich nor szynkowych, w które każe nam wchodzić za sobą nie kryjący się z van Ostrowskimi sympatjami duży a nowy ma ster Bartkiewicz. Ale już najlepiej to czujemy się z p. Bartkiewiczem, jako ciceronem, kiedy, strzepnąwszy z nóg pył wielkomiejskich mizerności i potępieńczych swarów, pożegnawszy lakonicznym: pal was dyabli! różnych „Chłustów z Bożej łaski,” różnych emigrantów z r. 1905,



ZYGUNT BARTKIEWICZ.

różnych szermetrów Leonisów i t. p. asfaltowe citoyenskie kreacje, żwawym krokiem sportsmenów - piechotarów, „nogami Apostolskimi” podążymy w pejzaż, w plener, w gaje! w łąki! Tu się dusza niezadowolonego i gdczącego na byt zoila-Bartkiewicza rozszerza, rozjaśnia, uskrzydla i miłością rozwartemi skrzydłami ogarnia wszystko wokoło panteistycznie. Podaje w nim rękę cię Pruszkowskiego cieniowi Dygasińskiego. Poeta — człowiek-pierwotny, męskim okiem zgarniający w siebie szczęście bytu, wdzięczny bez miary przyrodzie pocieszycielce, dotknął anteuszową stopą nadwiślańskiej Tetydy. Sylwaniczne zdrowie bije wtedy z jego stylu, humor krzepki, parszający *humour home life* artysty, dalekiego o mile od zdechlacznej neurastenii.

Takie kipplingowskie pastele, jak: „Polityka w lesie”, „Za cześć zagrody”, czyta się z najgłębszą wdzięcznością za ich pogodę duszną, za spokój psychologicznej żartobliwej analizy, za ironię matczyną serdeczną, za tkliwe pokochanie każdego źdźbła, każdej trawki, każdego listka w polu, każdego psiny u płotów z poszczekiwaniami się ciskającego.

A czasem ze stron tych nowell zatarga głęboki zmysł tragiczności („U wody”), a czasem, kiedy p. Bartkiewicz sięgnie pamięcią w przeszłość, zdumieje nas tak niespodziewanym zmysłem dla historyczności, tak szczerym, bezpretensjonalnym, koniecznym i prawnym do niej stosunkiem, jaki w dzisiejszych czasach powieściowej pseudo-historiozofii korzenno-bradiago-rewolucyjnej... nie tylko zdumiewać musi, ale radością i *nadzieją* przejmując, że z „raptularza” przejdzie do... epei...  
Miło więc należeć do zwiastujących nowy tęgi, męski, dziedzicznie histeryą nie obciążo-

ny talent, więcej do francuskich, niż do septentryonalnych satyryków powszedniości życiowych zbliżony. Pożądana to niezwykle formacja duchowa, bez aliażu fałszywej, forsowanej patetyczności. Szczery i przenikliwy, nawet drobniawo naturalizm p. Bartkiewicza hamowany jest obowiązującymi na Zachodzie normami artystycznego umiaru i harmonii. Szczery i przyrodzony jego sentymentalizm „nadwiślański” nie wynaturza się nigdzie w nadwołańską „toskę”, w zawrozenie kozackie, w bicie pięściami w stół i w zawzięte plucie żółciowe na bezbroną, przepadłą, we wszystkich narodach świata dziejowo jednakowo grzeszną przeszłość.

Gorąco i szczerze, z gwarancją dziesięcioletnią polecam kojącą lekturę „Słabych serc” Z. Bartkiewicza wszem wobec i każdemu z osobna.

ADAM DOBROWOLSKI:

## Z ZIMOWYCH ZWROTEK.

Noc zimowa... na globie księżyc twarz swą  
smutną  
kryje poza obłoki, co jak ptaki lecą...  
białe sady w obłoku, jak złoczone świecą,  
śnieg wysrebrzył aleje dłonią swą rozrzutną.

Koronkowe festony na okiściach wiszą,  
skrzą klomby, jak arrasy, złotym szychem  
tkane;  
przecudownie altany gorzą posrebrzane  
wśród drzew, spowitych śmierci przeogromną  
ciszą...

Księżyc, jak łódź po niebie płynie pozłacona...  
nad ziemią przestwór gwiazdny... tajemny, jak  
morze —  
świerki w srebrne poświaty skrzą kiściami  
w borze,  
na polach śnieg się iskrzy, jakby biała  
piana...

O, jak cicho... że słyhać, jako śnieżne puchy,  
sypiąc się z drzew okiści, dzwonią w noc  
miesięczną —  
widzą mi się wokoło pola falą dźwięczną,  
a drzewa w sadach srebrnych, jak milczące  
duchy.

Na szybach bań zimowa płomiennie się iści,  
całą krasą barw świetnych skrzą się rajskie  
kwiaty,  
mrozem na szkle rzeźbione firanki... makaty...  
srebrne freski i pnące brylantowych liści.

Dach niebieski złotymi nabijany ćwieki  
i nocy wielki... srebrny... roztworzony kielich;  
o, jak cicho... dziś duszy trzeba, by anielich  
jeno skrzydeł, aby lot podjęta daleki!...

Lwów.

\*) „Stabe serce”. Warszawa. Nakładem Orgebrandta i Synów. 1908.





Podróźni unieśli kapelusze na powitanie.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

## UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

5)

Zastrzega się prawo przedruku.

Wjechali w ulicę wioski niewielkiej, ale radującej oczy. Piękne chaty ze sporemi, rzeźbą otoczonemi oknami, z krytymi ganekami, tonęły w zieleni sadów. Naprzeciw chaty stał zwykle „świren” \*), także ozdobiony i z przyzbą wspartą na słupach. W kwietnikach przydrożnych sterczały malwy i słoneczniki wśród zarostów niższego ziela, szerzącego po wsi dobrą woń mięty i pachnących groszków. Patrzyły tu i owdzie od progów jasne głowy kobiet i dzieci, wesoło sennie. A u obu wylotów ulicy, i tu jeszcze, i tam dalej na rozstaju, wznosiły się błękitne i czerwone, błogostawiające okolice ramiona krzyżów.

— Jak u nas wszędzie — mówił Kazimierz — tylko lepiej, czystiej, bogaciej... W pięknym kraju mieszka synowica wuja.

— Tę cię przyłapał, Kaziu. To w tym kraju mieszka tylko Aldona dla ciebie? A Hieronim? a len?

— Wszystko razem, wuju. Nic dziwnego, że w takiej ramie widzi się raczej postać młodą i świeżą... Zresztą spotkaliśmy

\*) Śpichrz. — Wyraz polski miejscowy, nie pochodzący z rosyjskiego, ani z litewskiego języka (?).

przed chwilą ładną dziewczynę trochę podobną... Wuj nie zauważył?

— Owszem, alem nie pomyślał o Aldonie.

Rokszycki zagadał sprawę:

— Co do lnu, to mi się zdaje, że tylko włościanie go uprawiają. Proszę spojrzeć: same małe działki przy wsi. A tam dalej, gdzie pola większe, nigdzie lnu nie widać.

— Wiesz co, Kaziu? — przerwał znieknacka Budzisz — zdaje mi się, że czujesz powołanie do tego kraju. Ożeń się z Aldoną i siej len w Wiszunach!

— A to paradne! Ona się w wuju kocha, a ja mam się z nią zenić? Dziękuję za łaskę!

— Kocha się we mnie, mówisz? — uśmiechnął się Budzisz, któremu ten żart pochlebił. — Kiedy tak, to ja ci ją skaptuję, a ponieważ z moją Teklą rozwodzić się nie myślę, więc Aldonę wyswatam za ciebie, aby biedactwo chociaż w sąsiedztwie mogło mnie oglądać.

— Nie, wuju. Bez żartów, ja przyjeżdżam tylko dla studyów technicznych. Proszę mnie nie swatać.

— Jak sobie chcesz... To ci się nasza litewska Budziszówna nie podobała?

— Owszem; ładna panna, mądra. Trochę za mądra — wyrokuje nadto o sprawach społecznych. Ale co tam! drobiazg. Owszem, bardzo zajmująca panna.

— A zatem, dłaczegóżby...?

— Dlatego, że nie.

— Pokłóciliście się z punktu — to dobra wróżba. Ale przecie nazajutrz byliście w najlepszej przyjaźni. Sam widziałem, dlatego mówię.

— Bo można przecie rozmawiać z panną, jak z człowiekiem, nie tylko jak z samiecą. To nawet byłoby jakoś ogromnie... fizyologiczne, ten cały plan. Sprowadził mnie wuj do Wilna, zapoznał z panną, importuje mnie teraz, jak barana do zarodowej owczarni...

— Co też ty bredzisz, Kaziu! Jedziemy, bo jedziemy: mamy inne interesy. A jakże się to na świecie dzieje inaczej?

— Zapewne... Te małżeństwa z namysłu, mariages de raison, mają jednak w sobie coś brutalnego.

— Myślałem, żeś się trochę rozromansował?... A jeszcze tutaj, w takim kraju! Oj, żebym to ja był w twoim wieku, w twoich warunkach!

— Ach taak? — zaśmiał się Kazimierz —



więc ja wuja łapię na gorącym uczynku: wuj się zakochał w pannie Aldonie.

— Żart na bok, dobrodzieju mój. Tu się rzeczy układają—można po staremu powiedzieć: opatrnościowo. Tu jest więcej do zrobienia, niż myślisz, Kaziu. Ja jestem, jak mnie znasz, politykiem—prawda?

— No dobrze. Więc co?

— A ty, choć nie jesteś politykiem, masz przecie różne zadania, pragnienia społeczne, pokrewne z polityką?

— Nie rozumiem.

— Zaraz. Aldona—choć złote dziecko, już ja ci mówię—ma trochę przewróconą głowę tą kwestią litewską...

— Aha, więc ją nawrócić?

— A nie co innego. Rozkochać, ujarzmić uczuciem—rozumiesz?—poślubić i nawrócić. A przytem zagarnąć we władanie duży szmat ziemi—dowiadywałem się w Wilnie: Wiszuniy złote jabłko—i na tej ziemi urządzić jaką ci się spodoba akcyę społeczną. Oto co jabym uczynił na twojem miejscu!

— Ach, wuju, tyle wielkich zadań jest w tym kraju...

— No, a więc?

Kazimierz nie odpowiedział, więc pan Apolinary dobrej nabrał otuchy o skutku swej przemowy.

Jechali dotąd krajem, jakby z inwokacyi „Pana Tadeusza”:

(Śród) tych pól, malowanych zbożem rozmaitem...

Kto jedzie kowieńskim łanem, a ma serce i pamięć, nie może nie szeptać wierszy Mickiewicza. U źródła jego natchnień te wonne wiersze mówi sama ziemia.

Spuszczali się stopniowo z łańcucha pagórków w kraj niższy, zarosły lasem. Ale droga wypadła im tylko brzegami, po groblach, rzuconych na rojsty i moczary. Przy schyłku dnia wonie wstawały z ziemi tak tęgie, że aż chwytające za mózg. To pachnęły czarne olsze z całej mocy, i świąteczne ziele tataraku, i korale zórawin i pełne duru czarne „pijanice”, pokrywające leśne polany. A nadewszystko pachnęło nowe jezioro ciemne, z połyskami rdzawymi, podmywające jednym bokiem groblę, a przeciwnym dochodzące do wysokiej ściany sosnowego boru. Za tą ścianą były zapewne „mateczniki”.

Kościół wiszuński świecił ciągle na górze, w słońcu, i wystawiał teraz wyraźnie cały swój front, złożony z dających do piramidy wolut i załamań, jakby go ktoś przed wiekami ulepił był trwale z żółtego ciasta dla szerokiej okolicy.

— Cieszę się, że Hieronim mieszka tam wyżej, a nie pośród tych lasów—rzekł pan Apolinary, wstrząsając się od wilgotnego chłodu.

— Ale co za sosny, wuju! jakie znowu bogactwo materyalne i malownicze!

— Sosny masztowe... Dobrzeby wiedzieć, do kogo należą. Mój przyjacielu, czy nie wiecie, do kogo należy ten las?

— Nie wiem, pan—odrzekł chłop powożący.

Ta odpowiedź była mu widocznie wła-

ściwym odruchem. Ale po chwili poprawił się:

— Las musi już wiszuński...

— Fiu, fiu!... A widzisz, Kaziu, podobają ci się sosenki? A panna Aldona jedynaczka.

— Tu mnie już wuj przecenia jako technika w poglądach na małżeństwo—odpowiedział sucho Kazimierz.

— Niema się za co obrażać, Kaziu, że panna ma las, oprócz wdzięków.

Znowu droga zaczęła się wznosić na wzgórze, coraz bardziej złote od ukośnych promieni słońca. Kościół wiszuński ogromniał, odwróciwszy do przybywających swój bok dwupiętrowy, wzniesiony dumnie ponad okolicą. Nareszcie wózek wspiał się na znaczną wysokość i znalazł się ponad krajem, do którego, gdyby był we środku Europy, zdążyliby zdaleka ludzie, stęsknieni za świeżością i spokojnym majestatem przyrody. Pośród wzgórzystych, malowanych brzegów płynęła wielka wstęga rzeki, rozlewając się w parę jezior.

Chłop litewski poczuł się tym razem do obowiązku otwarcia ust z własnego popędu i rzekł, wskazując krótkim biczem na rozkoszną rzekę swego kraju:

— Szwinta-rzeka.

— To jest po polsku: Święta?

— Ona i jest.

Jechali teraz grzbietem pagórków wzdłuż rzeki prosto do Wiszun. Nie trzeba już było pytać, gdzie one leżą, gdyż widniał, jak na dłoni, wielki kościół, panujący nad wsią, a w pewnym oddaleniu od wsi, jak grono ciemne, rzucone w pól wzgórze, zwieszał się park dworski ku brzegom jeziora. Wśród jeziora dwie wyspy, całe zarośnięte, kąpały się bukietami w przeczystej wodzie.

— Wie wuj—odezwał się Kazimierz—że, gdyby król jaki kazał ten wielki obszar ziemi ozdobić dla swojej przejażdżki przez najpierwszych artystów, krajobraz ten nie mógłby wyglądać inaczej. A tu go ułożyła natura.

— Za to król, nawet litewski, miałby lepszą kałamaszkę—odrzekł Budzisz mrukliwie, ale pogodnie, podbity już zupełnie przez piękność kraju.

Poważniał błękit wód, nabierał w cieniu połysków twardych, damascenowanych, albo chwytał w siebie całe połacie gasnącego dnia, srebrne, coraz bledsze. Dalekie pagórki na drugim brzegu, złożone jeszcze po czubach, okazywały w szczerbach swych na rozwidnionym perłowo błękitcie, rzeczy bardzo dalekie, dotąd niewidzialne: jakieś wioski, a może zarośla; jakieś błyszczące plamy prostokątne, zapewne mury.

Młodszy podróżny poczuł to pragnienie rozkoszne i bolesne, które budzi się w pierśi wobec jasnej ciszy zachodów; to wyrwanie się duszy z kajdan codzienności do lotów wolnych, stepowych, skrzydlatych; ten poryw do szczęścia nienazanego, nieporównanego z dobrobytem na ziemi; poczuł tęsknotę za szczęśliwą przestrzenią.



Ledwie, że łzy nie błysły mu w oczach. Więc, żeby je ukryć, zmarszczył się i udawał, że filozofuje ściśle. Spojrzał na pana Apolinarego, aliści i ten roztkliwił się, wydłużył policzki i oczy okazywał większe, niezwykle, wspominające.

— A co, wujaszku? Kraj taki, że się i zmęczenia nie czuje, tylko by jechać i jechać, aż tam za rzekę, za te pagórki złote. Szkoda, że już gasną.

— Dobrze wam, młodym—rzekł Budzisz i westchnął.

Jakby czyhały tylko na zniknięcie słońca, mgły zaczęły snuć się nad niższymi brzegami rzeki, zrazu lekkie i powłóczyste pasma szarobłękitnej przędzy na zielonej osnowie, potem puszyste młode chmurki, układające się tu pieszczotliwie na nocleg. Rosło jezioro, traciło swe zarysy, rozlewało się mgłą pokrewną na poziomy sąsiednie i samo mieniło powoli swą jasną cerę dzienną w blady uśmiech nocy.

Dojeżdżano do Wiszun. Oba wózki, z podróżnymi i z kuframi, przyspieszyły biegu po lepszej drodze dworskiej, wpadły w mroki drzew, w zapachy stajen i obór, mignęły przed szeregiem okazałych budynków i, zatoczywszy krąg ostatni około pięknego trawnika wśród starych sadzeń parkowych, stanęły przed podjazdem rozległego dworu.

Na tarasie, ciągnącym się wzdłuż części domu, towarzystwo, złożone z jednego mężczyzny i kilku kobiet, jęło pilnie przypatrywać się zajeżdżającym wózkom, a gdy podróżni unieśli kapelusze na powitanie, wszczął się popłoch. Dwie kobiety, jedna wysoka i lekka, druga ciężka i kołysząca się na nogach, uciekły do domu, wnosząc do góry zakrwawione ręce...

Tragedya rozwiła się niebawem, gdy goście zbliżyli się do tarasu i ujrzeni kosze, półmiski i miednice, pełne wisien. Odbywało się bowiem przed chwilą drążenie krwawych jagód na konfitury. Dziewczyny służebne sprzątały pośpiesznie rozstawione statki.

Gdy powstał Hieronim Budzisz, ogarniając na sobie długi szlafrok, dom przy jego postaci wydał się niższym.

— A toż co, kochani? Wszak dzisiaj środa, a nie czwartek.

— Telegrafowaliśmy, ale depesza nie doszła.

Wzajemna radość powitania stłumiła natychmiast proces o depeszę i o brak koni na stacyi.

Goście wchodzili w dom z ciekawością ludzi, docierających do celu, z ulgą zmęczonych podróżnych. Pan Apolinary rósł też w dumę rodową, widząc po pokojach starą prostotę, ale i starą zamożność, portrety, broń, kobierce, chwałę Budziszów, wyobrażoną rozmaitym kunsztem. Rozrzewniła go tymczasem najbardziej rznięta kryształowa flaszka, która niebawem stanęła na stole jadalnym. Na niej, oprócz herbu Papanony, jaśniał herb wielopolowy i napis: „Vivat Rex Poloniae M. D. Lit.” Flaszka była pełna przedziwnej, płynącej, jak oliwa, familijnej, powitalnej starki.



E. BLAND:

## TRZY MATKI.

Truchcikiem niemal wesołym powracał karawan, a za nim karetą żałobna.

To już koniec.

Może teraz wejść do domu pustego całkiem swobodnie. Może płakać, krzyczeć, śmiać się, szaleć—wszystko jedno. Nikogo już wrzask jej nie obudzi. Niema tam już tego okropnie białego, co owijać trzeba w milczenie. Niema już kwiatów widmowych. Kwiaty zabrała kucharka i służące. Jej podarkiem dla zmarłego było milczenie.

Właśnie rozmawiano o niej w wesołej, ciepłej kuchni, gdzie ogień płonął jasno na kominku i czuć było zapach herbaty, oraz świeżo przyrumienionych grzanek.

— Biedaczka!—mówiła kucharka.—Ale przyznać muszę, że cios zniósła dzielnie.



Obok niej stała kobieta bardzo blada, wynędzniała.

— Bez serca—odparła służąca—mogłaby przecież zapłakać choć trochę, przynajmniej dla przyzwoitości.

— Nie rozumiesz tego!—zaprotestowała kucharka.—Przekonasz się, że rozpacz wybuchnie u niej dopiero po powrocie z pogrzebu.

— A czy nie ma—wtrąciła siostrzenica kucharki, która, korzystając ze sposobności, wpadła do ciotki na herbatkę—nikogo z krewnych lub przyjaciół, którzyby pocieszyli ją w chwili takiej?

— Ojciec nie żyje—odparła kucharka—matka w Indyach, mąż spłonął przypadkowo niemal w jej oczach, na krótko przed urodzeniem się dziecka. Była wówczas dopiero od roku zamężna. Dzisiaj chowa dziecko. Straszny los, co? Ale oto ktoś zajechał. To ona. Idę podać herbatę.

Kobieta jednak, która straciła wszystko, nie tknęła wieczerzy, zastawionej w pokoju jadalnym, gdzie zegar ścienny cykał: Pu-sto, pu-sto, i wędrowała z pokoju do pokoju, wciąż skamieniała, milcząca. Oto pokój, w którym chowało się dziecko. Oto małeńkie jego łóżeczko, zabawki miękkie, sukienki. A oto pokój, w którym leżało po śmierci, wśród kwiatów, milczenia, woni kamfory i wody kolońskiej.

— Nic, nic, nic—szepiała.—O, gdybym mogła pomodlić się, zapłakać!

Padła na kolana przy opróżnionem łóżeczku, płakać jednak ani modlić się nie mogła.

— Dziecię me, dzieciku!—jęknęły usta, a łkanie ścisnęło gardło, lecz oczy pozostały suche.

Zerwała się więc z kolan, jak osoba, która coś nagle postanowiła—i, ubrawszy się, szybko wyszła na ulicę.

Owiął ją wiatr mroźny, błoto pluskało pod nogami, ale nie zważała na to. Szła, jak niewi-

doma, bez celu, ulicami ciemnymi, dopóki nie zatrzymały jej wystające na chodnik, szerokie schody kamienne gmachu rozłożystego. Ktoś otworzył drzwi gmachu. Na ulicę padł promień światła.

— Tam cicho i ciepło—szepnęła i weszła na schody.

— Pani, pani—usłyszała głos za sobą—zlituj się, ofiaruj choć cokolwiek, jak mi Bóg miły, nic nie jadłam od wczoraj.

Odwróciła się. Obok niej stała kobieta bardzo blada, wynędzniała, w okropnie spłaszczonym kapeluszu na głowie i sukni marnej, trzymając na ręku dziecko, owinięte szalem, wytartym, jak sito.

— Pani szczęśliwszaś ode mnie—odparła matka osierocona, rzucając wzrok chciwy na okrągłe zarysy ciała dziecięcego, ukrytego pod szalem.—Zapomniałam portmonetki... Oto wszystko, co mam przy sobie—dodała, podając żebrzącej monetę drobną, znalezionej w kieszeni.

Wyrazy podziękowania za marną tę ofiarę przerwał gruby głos policyanta:

— Znow, znow przy żebraniu! Proszę o adres.

Zaskoczona żebraczka wyjąkała coś niewyraźnie.

— Żebrcie wszędzie—mówił dalej policyant, zapisując przy świetle latarni adres w książeczce—nawet tu, na stopniach kościoła. Niech was jeszcze raz uchwycę...

Żebraczka odeszła chyłkiem.

Matka osieroconej wstawiła się za biedną.

— Przecież pan nie pociągnie jej do odpowiedzialności—rzekła głosem błagalnym.

— No nie, ale, gdyby człowiek tego nie rozpedzał, to zebrałyby się ich cały tłum na placu. Nie należy dawać im cokolwiek, to ich tylko ośmiela.

— Dałam tylko penny.

— I za to dostanie wódki—odparł majestajecznie stróż prawa.

Weszła do kościoła. Cicho tam było i niemal pusto. Zdaleka, po prawej stronie, połyskiwało wśród filarów światło.

Podążyła ku niemu.

W grocie sztucznej, ubranej zielenią i zalanej światłem, płynącym z lamp niewidocznych, w otoczeniu pastuszków, trzech króli egzotycznych, aniołów, krówki, baranka i osielka, leżało—Dzieciątko: woskowe wyobrażenie Króla Niebios, który zeszedł między ludzi, urodził się w stajence. A nad Nim pochylała się wyrzeczana z drzewa postać Matki Boskiej, o twarzy, opromienionej światłem, weselem i miłością, zaznaną przez każdą matkę ludzką, ale ocienionej też jednocześnie bólem większym, niż bóle świata całego.

Bezwiednie matka osierocona padła na kolana i oparła ręce drżące o balustradę gładką, wy-



To małeńkie, nagie, żywe dzieciątko ludzkie.

świeconą przez ręce tych tysięcy, które przed nią klęczały już tutaj, uprzytomniając sobie wielką chwilę Narodzin Pańskich.

Nikt obok niej w chwili tej nie klęczał. Była sama i czuła się cząstką orszaku pastuszków, króli i aniołów, otaczających Dzieciątko.

— Dziecię, dzieciku moje!—jęknęła, ukrywając twarz w dłoniach. I uczuła, że płacze i że dusza jej wznosi się ku Panu.

Łzy to były gorące i obite, a modlitwa westchnieniem o ratunek.

— O Boże, mój Boże, wesprzyj i uratuj! Boże, mój Boże...

Wszystkie wspomnienia przeszłości, które złożyły się na rozpacz obecną, odsunęła od siebie, bo całe jestestwo jej objęła w posiadanie wiara. Boże, wszak wiara góry porusza! Niech tylko modlitwa będzie mocna, gorąca, a może ona, matka nieszczęśliwa, powróciwszy do domu, zastanie dzieciątka swe w łóżeczku, przekona się, że wszystko, co cierpi obecnie, to tylko sen, sen przemijający...

Nie, nie! To dzieciństwo! A jednak... I przyciskała całą siłą czoło stroskane do balustrady i wzywała pomocy...

Czy to złudzenie? Czy ona śni istotnie? Bo oto o uszy jej odbija się głos cichutki, tak znany, tak dobrze znany: kwilenie budzącej się dzieciny. Podnosi zdumione oczy, ociera łzy. Tam, w żłobku, na białutkim prześcieradle, porusza się główka dziecięca, a małeńkie, różowe rączki unoszą się ku górze. Nie, to nie woskowe Dzieciątka Boże, to małeńkie, nagie, żywe dzieciątka ludzkie.

Matka osierocona rzuca dokoła spojrzenie szybkie, spojrzenie zwierzęcia ściganego, przekrada się chyłkiem przez balustradę drewnianą, chwytając dziecinę, owija w prześcieradło i ukrywa w fałdach płaszcza futrzanego.

\* \* \*

Sama nie wie, jak doszła do domu. Pamięta tylko, że potrąciła służącą, która drzwi jej otworzyła, i wpadła do pokoju swego.

— Przyniosła, powiadasz, dziecko i chcę uznać je za swoje? Nie mogła nic lepszego uczu-



I oto po chwili pani i kucharka zachwycają się dzieciątkiem nagim.

nić. Zaraz jej to powiem—mówiła kucharka do służącej i pośpieszyła do pokoju pani.

A w pokoju pani jasno, ciepło, zacisnie. I oto po chwili pani i kucharka zachwycają się dzieciątkiem nagim.

\* \* \*

Przez trzy dni spragniona matka karmiła serce zgłodniałe dziecieniem, cudownie uzyskanem, i dopiero wówczas przypomniała sobie tę drugą matkę, spotkaną na stopniach kościoła. Współczuciem wezbrało jej serce, wyszła, odnalazła policyanta i otrzymała adres nieszczęśliwej.

W brudnej, ciasnej uliczce, gdzie drzwi domów zawsze stoją otworem, a dzieci bawią się w rynsztokach takimi zabawkami, jak łachmany, kości ogryzione i drzazgi drzewa, znalazła dom szukany. Schody były zgniłe, a wiatr mroźny hulał po nich.

— Na poddaszu!—brzmiała odpowiedź kobiety brudnej, rozczochrałej, lecz z twarzą pomalowaną.



Weszła tam, ale drzwi zastała zamknięte.

— Chora jest. Od wczoraj jej nie widać— zauważył mieszkaniec drugiego piętra, bosy i w koszuli, bez kołnierza, słysząc pukanie.

— Proszę otworzyć—zapronowała mu zaniepokojona.

Opierał się, twierdząc, że żądanie sprzeciwia się prawu. Skrupuły jednak przemógł pieniądz złoty.

\* \* \*

Zimne i sztywne leżały zwłoki żebraczki na starym łożku żelaznym, pokrytem łachmanami. Przez wybitą szybę okna wpadał z wiatrem śnieg i układał się na podłodze pasmem długiemi, białemi, jak promień księżycy.

Obok łożka stała skrzynia od cukru, spełniająca tu widocznie funkcję stołu. Okrywał ją stary szal, wytarty, jak sito, a na rozłożonej na szalu chusteczce w kratki białe i niebieskie, stanowiącej widocznie pamiątkę drogą, bo czystej i z od-

ciśniętymi fałdami, świadczącemi, jak starannie była złożona, spoczywała uśmiechnięta słodko postać—Dzieciątka Jezus z jasełek kościelnych.

Po obu jej stronach stały dwie butelki puste. Ślad stearyny świadczył, że płonęły w nich, kupione snadź za ostatni grosz wyżebrany świece, oświetlając, dopóki starczyło, ołtarz ten biedny i straszny...

Przeł. S. BARSZCZEWSKI.

NADEŚLANE.

KRAK. PRZEDM. 55.  
TELEF. 404.

**GŁÓWNY SKŁAD**

**YRARDOWSKI**

PŁÓTNA,  
BIELIZNA STOŁOWA,  
BIELIZNA DAMSKA I MĘSKA,  
TRYKOTAŻE, KOŁDRY, FIRANKI.

NAJWIĘSZY SKŁAD WYROBÓW BIAŁYCH

WŁASNE PRACOWNIE BIELIZNY—BLUZEK  
SZLAFROKÓW—KOLDER.

CAŁKOWITE  
WYPRAWY DAMSKIE, POCZĄWSZY OD  
RUB. 100. WYSYŁKA PRÓB I KATALO-  
GÓW BEZPŁATNIE.

**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**  
W WARSZAWIE,  
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9  
pośredniczą  
w prenumeracie pism  
krajowych i zagranicznych  
po cenach redakcyjnych.

**MILUJĄCYM ZDROWIE!** poleca:  
**Okulary i Binokle** z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych, **Oliwa** usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, **Bandaże elektryczne** usuwają rapturę, nie krępują ruchów od rb. 6, **Przepaski higieniczne** Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów **w dobrym gatunku**. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w **zakładzie Michała Pik, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.**

**LUDWIK SZUFA**  
**KRAWIEC**  
KRAKOW TELEFON 671

KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36, przeszła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”  
mamy na składzie

**Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”**  
po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.  
**piękne artystyczne teczki**  
do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego  
po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.  
Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza  
po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

**J. MIECZKOWSKI, Fotografia**  
Marszałkowska III. Telefon 16.81

PASTILLES  
DE  
**TAMAR  
INDIEN  
GRILLON**

Owoc przeczyszczający  
PRZECIWI  
**OBSTRUKCYI**

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.  
We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

**L. MARCHOWIECKI** Krak.-Przedmieście 23  
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, ciepłe pantofle, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej  
**KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI**  
Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

Nagrodzone złotymi medalami, a zalecane przez pp. doktorów i lekarzy-dentystów, eliksir, proszek i pastę

**TYMENTOL**

jako najlepsze środki do czyszczenia i konserwowania zębów, oraz odświeżania jamy ustnej, poleca  
**Centralne Laboratorium Chemiczne** (Czekay i Krysiewicz) w Warszawie.  
Sprzedaż w składach aptecznych.

**J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI** Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny



**Bracia Osinscy**

Warszawa, Nlecała Nr 2 (róg wierzbowej)

Główny skład Kryształów czeskich fabryki Hr. Harracha „Nowy-Svet” (Czechy)

z kryształów, porcelany, terrakoty i majoliki, niebywały wybór serwisów stołowych, porcelanowych, krajow., czeskich i francuskich „Lmoges”.

Ceny fabryczne.  
polecają wielki wybór  
OSTATNICH NOWOŚCIJEDYNY SKŁAD FABRYCZNY  
MEBLI GIĘTYCH**BRACI THONET**w Wiedniu. Warszawa, Marszałkowska 141  
poleca w wielkim wyborze MEBLE. Artykuły sportowe.Nagrodz. złotym medalem na wyst.  
przemysł.-zdrojowej w Ciechocinku

Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzciniowych T. &amp; W. Krakowscy

Kantor: Warszawa,  
Nowogrodzka 36. Tel. 36.83.L. Lipiński (Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12.)  
WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie,

Wielki wybór brylantów, kolorowych kamieni i pereł oraz biżuterii złotej i srebrnej w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.

**PIERZCHALSKI**

Tel 118 38

SKŁAD SZKŁA, PORCELANY i t. p.

Serwisy stołowe, Umywalnie, Figury klasyczne, Garnitury  
foaletowe, Patery ściennie, Kandelabry saskie, Szklanki  
niepękające, Compotiery i Stoje.

Ceny niżej konkurencyj.

SZPITALNA Nr 5, dawniej MAZOWIECKA

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

**SKŁADY NUT  
GEBETHNERA I WOLFFA**

W WARSZAWIE,

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda)

Krakowskie-Przedmieście 15

Polecają

WIEDEŃSKIE tanie wydawnictwa  
nutowe w tomach**„UNIWERSAL-EDITION“**

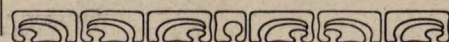
Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition“ zastępuje niemieckie wydania Petersa, Litolffa i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

**ODPOWIEDZI.***P. Janinie Zar. w Białej.* Obrazowanie słabe, rymy pospolite, wiersz monotony, przesada w stylu. Do kosza!*P. A. Jodz. w Moskwie.* Artykułu o Barancewiczu nie zamieścimy, tem więcej, że nie mamy jego portretu.*P. L. Tall.* Obrazek „O szarej godzinie” wcale niezły: jest w nim pewien nastrój i wdzięk, ale wobec znacznej ilości zapasów drukować nie możemy.*Premumeratore ze wsi. H. Galle:* „Stylistyka oraz teoria literatury” (dla niższego stopnia, w zakresie szkolnym), A. G. Bem: „Teoria poezji polskiej” (w zakresie wyższym), wreszcie P. Chmielowski: „Stylistyka polska” (ogólne zasady stylu). Z innych wymienimy: T. Ziemby: „Estetykę poezji”, Hip. Cegielskiego: „Naukę poezji”, M. Rowińskiego „Uwagi o wersyfikacji polskiej, jako przyczynek do metryki porównawczej” (*Prace filologiczne*, tom IV, zeszyt I, bardzo ważna rozprawa!). Z niemieckich: Wackernagel: „Poetik, Rhetorik und Stilistik”, Gottschall: „Poetik”, Scherer: „Poetik”.*Interesowanemu.* Adres Stefana Żeromskiego: Zakopane, willa Polanka, ulica Zamoyskiego. *Tygodnik Powszechny* wychodził od r. 1877 do r. 1885, z *Ilustrowanym* nie miał nigdy nic wspólnego, roczniki można dostać chyba tylko w antykwarni.*Athos.* „Kominy” bardzo słabe. Do kosza!*P. Michałowi J. w Monachium.* Ze szkicu Pańskiego: „Wigilia u P.”, nie skorzystamy.*P. Janowi Kon. w Kijowie.* „Motywów poetyckich w obrazach Kotarbińskiego” nie będziemy drukowali.*P. B. Piotrowskiemu w Kaczmarze.* Cenne uwagi Pańskie zakomunikowaliśmy redakcji wiadomego czasopisma.*Bosuli.* Wiersze nadesłane nie są wolne od usterek wersyfikacyjnych (jak złamanie rytmu, nierówna ilość zgłosek w wierszach i t. p.), znać w nich jednak pewną łatwość wierszowania, co nie jest bynajmniej równoznaczne z talentem. Co do drugiej sprawy, jesteśmy zdania, że na każdym stanowisku można uczciwie i z godnością spełniać swoje obowiązki, z drugiej strony jednak przyznać należy, że człowiek z uniwersyteckim wykształceniem, w naszych warunkach narodowych, może robić coś nierównie pożyteczniejszego nad schlebianie wybrednym żołądkom.*P. Aleksandrowi Kr. w Kutnie.* Zadaje Sz. Pan pytanie niezmiernie trudne do rozstrzygnięcia: sądzić na podstawie tak niewielkiej próbki o uzdolnieniach autora, i to w tak młodym wieku—niepodobna. Zapewne, pisze Sz. P. wytworniej i gładziej, aniżeli całe zastępy Pańskich rówieśników; znać również w Panu upodobania literackie, których nie należy zaniedbywać, lecz kształcić je przez wczytywanie się w najlepsze arcydzieła literatury, naszej i obcej. Tych studyów nigdy Pan nie pożałuje, nawet gdyby nie przyszło Panu w przyszłości bawić się piórem.*P. T. Bos...* (nazwisko nieczytelne). Prosimy o nadesłanie pracy, musimy ją zobaczyć, z góry bowiem do niczego nie możemy się zobowiązywać.*P. Z. Bereźnickiemu w Suchumie.* Przekłady poetyckie z obcych języków dajemy tylko wyjątkowo, jeżeli celują doskonałą formą poetycką. Sz. P. tłumaczył nie z oryginału, lecz z przekładu rosyjskiego, co już samo wyklucza możliwość umieszczenia Pańskiej pracy na łamach *Tygodnika*.*P. M. Gordonowej w Kijowie.* Adres p. Anieli Szycówny—Chmielna 29 m. 5, p. Kazimierza Stołyhwy—Marszałkowska 59 m. 21.FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE  
ORGANY, MELODYKONY  
**GEBETHNER i WOLFF**  
Warszawa. Krak.-Przed. 15**Dr. I. Wapiński** ord. klin. szpitala  
świętego Łazarza  
Nowosenatorska 10. Telefon 942. Choroby  
skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**  
Browaru  
poleca **PIWO PILZEŃSKIE.****SALON „ARS”**

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

**KOTYLIONOWE**przybory (największy wybór w każdej cenie, katalog franco). Zabawki—Gry salonowe—Witraże do okien—Filtry do wody—Nowości Paryskie.  
MAGAZYN FRĄNOUSKI (BERGA 8).

Wyprzedajemy z dawnych zapasów

**5,000 gąsiork. wina węg.**wytrawnego, średniego lub słodkiego po wyjąkowej cenie rub. 1 kop. 20.  
Dostawa 15 gąsiorków franko.

Skład Win i Koniaku

**Braci KEMPNERÓW**

Długa Nr 5. Telefonu Nr 772.

**Bracia ŁOPIEŃSCY** POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN **KRAKOWSKIE PRZEDMIESCIE** Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.